

LIN CARTER

CONAN Z WYSP

TYTUŁ ORYGINAŁU: CONAN OF THE ISLES  
PRZEŁOŻYŁ J. D.

„...i w końcu, o Księżę, stało się, że rebelia Asalanty została zdławiona i daremnym było wskrzeszenie ze zbutwiałego prochu z archeońskiego grobowca ponurego cienia Xaltotuna. Zawiodły nawet czarodziejskie moce Yah Chienga, żółtego czarodzieja z mrocznego i demonami nawiedzanego Khitaju. I wtedy to Conan z Aquilonii złożył koronę i porzucił tron najpotężniejszego królestwa Zachodu, zapuszczając się w nieznane, gdzie na zawsze zniknął z ludzkich oczu.

KRONIKI NEMEDIAŃSKIE

Z głębin dziejów, z zapomnienia,  
gdzie jeszcze śpi pradawny stwór.  
Cienie przybyły na milczenia skrzydłach,  
szkarłatnych niczym piekiel trzewia.  
„Proroctwo Epemitreusa”

1

CZERWONE CIENIE

Król Conan siedział na sędziowskim tronie w sali sprawiedliwości. Za oknami błękit nieba rozpościerał się nad pełnymi kwiatów ogrodami Tarancji, stolicy Aquilonii. Między niebem a zielenią ogrodów wznosiły się wieże z białego kamienia, złote kopuły świątyń i pokryte czerwoną dachówką dachy domów i pałaców. Na całym zachodzie hyboriańskiego świata nie było piękniejszego i bardziej majestatycznego miasta.

Dobrze utrzymane ulice Tarancji roiły się od przechodniów. Tysiące kobiet i mężczyzn na grzbietach koni, mułów i osłów, w lektykach, rydwanach lub wozach zaprzężonych w woły bez

przerwy podążało ku swoim celom. Po wodach Khorotasu krążyły lekkie łodzie przypominające

roje wodnych owadów. Dwadzieścia lat twardych, ale i rozumnych rządów Conana Wielkiego uczyniło Aquilonię najpotężniejszym i najzasobniejszym krajem, jakiego od zarania świata dotąd

nie widziano.

Wewnątrz sali bogato ubrani szlachcice, dworzanie w jedwabiach i mieszczanie w jasnych togach z oznakami cechów zawieszonymi na piersiach stali w milczeniu, podczas gdy król wymierzał sprawiedliwość. Dzisiaj miało zostać rozpatrzonych kilka spraw o niezwykłym znaczeniu, dlatego w sali sprawiedliwości znalazła się połowa wysoko urodzonych Aquilończyków. Oprócz młodego Gonzalvia, wicehrabiego Poitain i jego ojca, starego Trocero,

jak zawsze szczupłego i wytwornego w szacie ze szkarłatnego aksamitu, byli tu również hrabia

Monaro z Couthen, baron Guilaime z Imiru, a także dostojny, śnieżnobrody starzec — Dexitheus, arcykapłan Mitry.

Groźni wojownicy z królewskiego legionu Czarnych Smoków stali przy drzwiach i pod ścianami, a słońce błyskało na ich hełmach uwieńczonych skrzydlatymi gestiami oraz grotach włóczy.

Wszystkie oczy zwrócone były na podwyższenie, na którym dwa trony wynosiły się ponad tłum. Poniżej gruby kupiec nerwowo miał w palcach fałdy swej szaty, podczas gdy jego adwokat zawile tłumaczył coś patrząc na króla.

Conan z wysokości swego tronu spoglądał groźnie w dół na drżące strony sporu. W głębi duszy czuł wstręt do tych nudnych, rozwlekłych i pełnych zawilości spraw, z ich żalonymi kłamstwami, wyrachowaniem i powodującymi ból głowy komplikacjami. Jakże pragnął cisnąć

koroną w tłustą gębę tego chciwego głupca, potem wybiec z sali, ścisnąć udami boki ogiera i pognać na całodzienne polowanie w północnych lasach!

Niech piekło porwie takie królowanie! — pomyślał. — To wysusza całą ikrę w ciele mężczyzny, czyniąc go starym, gderającym nudziarzem, nie mającym dość krwi w żyłach, aby

zamachnąć się dwuręcznym mieczem. Bez wątpienia, po dwudziestu latach noszenia korony prawdziwy mężczyzna ma prawo rzucić precz honory i tytuły i ruszyć ostatni raz ku przygodom

zbrzyganym krwią, zanim Czas zetnie go swą nieubłaganą kosą.

Conan spojrział ukradkiem na drugi, niższy tron, na którym siedział jego syn, książę Conn, dziedzic królestwa Aquilonii. Młodzieniec miał dwadzieścia lat i przygotowywał się, by przejąć

koronę najpotężniejszego królestwa Zachodu. Stary król uśmiechnął się dyskretnie, ujrawszy znudzony, buntowniczy grymas na twarzy młodego Conna. Niewątpliwie ten młodzik też marzył

o tym, by zrzucić z siebie ciężką, paradną szatę i wyruszyć na polowanie czy spędzić noc z dziewczkami w nadbrzeżnej oberży. Wspomniawszy własną gorącokrwistą młodość, Conan zachichotał w duchu.

Rzeczywiście, książę Conn był bardzo podobny do swego ojca. Miał takie same, nachmurzone, ciemne brwi ponad oczyma pałającymi błękitnym ogniem. Taka sama była smągła

twarz z kwadratową szczęką, obramowana czarną grzywą przyciętą w kwadrat. Takie samo było

też krzepkie ciało o jędrnych mięśniach napinających jedwab i aksamit na szerokich ramionach

oraz wysoko sklepionych piersiach. Syn Conana górował głową i ramieniem nad wszystkimi mężczyznami w sali, wyjąwszy tylko swego tytanicznego ojca, największego wojownika, jakiego

świat znał kiedykolwiek.

Czas nie pokonał jeszcze króla Conana. Prawda, że wiele srebra błyszczało mu w gęstej, czarnej grzywie i krótko przyciętej brodzie, która otaczała jego srogie usta i żelazne szczęki. Ubyło mu też trochę ciała, co upodobniło go do wysuszonego starego wilka z północnych stepów. Zimna ręka Czasu wyryła głębokie bruzdy na posępnym czole Cymmerianina i pokrytych bliznami policzkach. Ciągłe jeszcze niewzruszona żywotność wrzała wewnątrz olbrzymiej postaci. Gorące ognie dawnych furii wciąż tliły się w jego oczach, a paraliżujący uchwyt Czasu nieznacznie tylko nadwątlił siłę mocarnych dłoni, giętkość ścięgien i prężność

muskułów.

Conan siedział na srebrnym tronie tak, jakby dosiadał bojowego rumaka. Berło sprawiedliwości trzymał niczym żelazną, bojową maczugę, mogącą unieść się w każdej chwili i

strzaskać czaszkę wroga. Bogata szata obwieszona klejnotami i złotymi łańcuchami nie mogła ukryć bijącej od niego dzikiej, pierwotnej siły. Gdziekolwiek by nie był — na hałaśliwej uczcie,

w ciszy i kurzu biblioteki lub jedwabistym wnętrzu alkowy — ten posepny barbarzyńca z mgłą

okrytych pustkowi Cymmerii wszędzie przynosił ze sobą groźny nastrój pola bitwy.

Minęło już ponad dwadzieścia lat od chwili, gdy zrządzenie losu oraz jego własna, nieugięta wola wyniosły go spośród rzeszy bezimiennych awanturników na olśniewający tron najpotężniejszego i najwspanialszego królestwa Zachodu.

Blisko pół wieku przeszło od tamtej nocy, kiedy to obdarty, szalony młodzik z zerwanym łańcuchem w rękę wy dostał się z hyboriańskiej zagrody dla niewolników, wyruszając w drogę,

która zaprowadziła go na najwyższy szczyt potęgi i chwały. Conan Cymmerianin w bitwach i wojnach przemierzył pół świata, wyrabując sobie krwawą ścieżkę przez tuzin królestw, od burzliwych brzegów Oceanu Zachodniego, po mgliste doliny bajecznego Khitaju.

Jako złodziej, pirat, najemnik, przywódca tajemnych bractw, generał armii kilku królestw, Conan ryzykował życie zaznając wszystkich przygód, cudów i przyjemności, jakie tylko mógł dać ten świat. Z ręki potężnego Cymmerianina ginęły demony, smoki i pełzające okropieństwa z

pradawnych wieków. Tysiące wrogów poczuło w trzewiach chłód jego ostrza. Wojownicy w zbrojach, źli czarnoksiężnicy, wodzowie dzikich barbarzyńców i pyszni królowie. Nawet wieczni

bogowie uciekali czasami przed bojową furią Conana.

Jednak przygoda, która zaczęła się owego gorącego, wiosennego dnia tutaj, w sali sprawiedliwości pałacu w Tarancji, osiem tysięcy lat po zatonięciu Atlantydy, a siedem tysięcy

lat przed powstaniem Egiptu i Sumeru, była najdziwniejszą i najbardziej niesamowitą ze wszystkich, które do tej pory złożyły się na historię życia Cymmerianina. Zaczęło się nagle i nieoczekiwanie. W jednej chwili Conan patrzył gniewnie na grubego kupca i jego elokwentnego

adwokata, w następnej zaś spojrział zdziwiony na salę, zatrzymując wzrok na postaci swego starego, wiernego przyjaciela, hrabiego Trocero z Poitain, który niespodziewanie zachwiał się na

nogach. — Nie! Na wszystkie diabły Piekieł. Nie!

Chrapliwy krzyk starego arystokraty, wibrujący obłądnym przerażeniem i rozpaczą, przerwał wywód adwokata. Zdumione oczy obecnych zwróciły się ku zataczającemu się Trocero.

Mogłóż

to być, że stary hrabia Poitain przybył do sali sprawiedliwości pijany?

Jednak widok bezkrwistej twarzy, wykrzywionej malującym się na niej potwornym strachem, natychmiast odpędził takie podejrzenie. Krople zimnego potu zabłysły na białym obliczu hrabiego, a zsiniałe wargi poruszały się jak w agonii. Ciemne obwódki otoczyły wytrzeszczone

oczy.

— Trocero! — wykrzyknął Conan. — Co ci jest?!

Król wstał z tronu, widząc jak jego przyjaciel i współpracownik wyciąga przed siebie ręce, próbując odepchnąć niewidzialnego napastnika. W sali zapadła cisza. Syn Trocero rzucił się

przez ciżbę, by podtrzymać ojca. Hrabia padł na kolana.

— Nie, mówię nie! — krzyknął. — Nie możesz... nie odważysz się! Och, Isztar i Mitro! — podniósł głos w udreće przerażenia.

I wtedy uderzył Strach.

Spod żebrowanego sklepienia sali spłynęły szkarłatne cienie, tak blade i bezcielesne jak pasemka wyblakłej, czerwonej mgły. Były to cienie Strachu.

W mgnieniu oka zawirowały dookoła postaci starego Poitainczyka. Jeszcze przez chwilę poprzez czerwoną zasłonę widać było jego białe, stężałe rysy. Wyglądało to tak, jakby gromada

duchów oblepiła Trocero ze wszystkich stron.

Przez długą, upiorną chwilę czerwone cienie zasnuwały wokół hrabiego różową zasłonę, a potem wszystko zniknęło.

Cała sala zamarła z wrażenia. Na każdej twarzy malowało się niedowierzanie. Stary hrabia Poitain, który przez ćwierć wieku stał u boku Conana i walczył w dziesiątkach wojen, po prostu

rozpłynął się w powietrzu.

— Ojcze! Na Mitrę... — przerwał ciszę młody Gonzalvio. Na żelazne serce Croma! — ryknął

Conan. — Czarna magia w moim własnym pałacu? Muszę mieć głowę tego, co wywołał to zło!

Hej, straż! Przekłęci głupcy, trąbić na alarm! Wściekły krzyk Conana przerwał nastrój otepiałego niedowierzania. Kobiety zaczęły piszczeć i mdleć. Mężczyźni kleli, przecierali oczy i

gromadzili się wokół miejsca, w którym przed chwilą stał największy pan w Aquilonii. Nagle ponad gwar głosów przebił się grzmot mosiężnych rogów. Zawarczały bębny i gwardziści Conana z legionu Czarnych Smoków z mieczami w dłoniach przepchnęli się przez skłębiony tłum i stanęli w szyku wokół królewskich tronów, nad którymi wisiał sztandar z lwem Aquilonii.

Nigdzie jednak nie było żadnego wroga; ani przebiegłego mordercy, ani ukrytego szpiega, ani wreszcie nikogo widzialnego.

Na podwyższeniu, otoczony przez swych gwardzistów, król Conan badał salę zawziętym, nieporuszoną spojrzaniem stepowego lwa. Głęboko w duszy czuł przeszywający ból dotkliwej

straty. Trocero z Poitain był pierwszym, który wysunął imię Conana jako przywódcy rewolty przeciw zdegenerowanemu królowi Numedidesowi. To Trocero poprowadził wyprawę na dalekie

wybrzeże krainy Piktów, by sprowadzić stamtąd Cymmerianina, wygnanego przez zazdrość Numedidesa.

Później Conan wyruszył z Argos na czele garstki dzielnych wojowników i zakrwawionym mieczem wyrąbał sobie drogę aż do bram Tarancji. Tu Cymmerianin gołymi rękami zadusił zdeprawowanego Numedidesa, a zdartą z jego głowy koronę założył na własne skronie.

Najstarszy i najwierniejszy przyjaciel Conana był pierwszą ofiarą Strachu. W ciągu następnych tygodni Strach uderzał raz za razem, dopóki siedem setek Aquilończyków — parów i

tragarzy, szlachetnych dam i kurtyzan, dostojników i żebraków, kapłanów i chłopów, nie zniknęło w upiornym uścisku czerwonych cieni.

Gdy wiek za wiekiem bez przerwy szedł  
i płynął czas nad moim grobem,  
ja spałem twardo w ponurej ciszy,

w cieniu feniksów skrzydeł,  
lecz teraz wreszcie się zbudzę.  
„Proroctwo Epemitreusa”

2

## CZARNE SERCE GOLAMIRY

Samotny król Conan spał w wielkiej komnacie o złotym sklepieniu. Jego sen był niespokojny i

pełen koszmarów. Przez ostatnie trzy dni i nocę przedzemał najwyżej godzinę, usiłując zwalczyć

niesamowitą plagę, która opanowała Aquilonię. Zasięgał rady najmądrzejszych ludzi królestwa

— sędziwych mędrców i uczonych lekarzy. Prosił o modlitwy kapłanów Mitry, Isztar i Asura. Wysłuchiwał meldunków szpiegów. Szukał zaklęć i wróżb, czarodziei i magów — wszystko na

próżno.

Wreszcie zmęczenie ogarnęło jego żelazne ciało i posiwiaily barbarzyńca leżał teraz w ciężkiej

kolczudze na jedwabnej pościeli, z wielkim dwuręcznym mieczem w zasięgu ręki, pogrążony w

pełnym majaków śnie.

Nagle spłynęło na niego widzenie. Wydało się Conanowi, że słyszy odległy głos, a powtarzające się wołanie, choć niezrozumiałe, było dość głośne, by mógł się obudzić.

Stanął na nogi, obejrzał się i ujrzał własne ciało leżące w głębokim śnie. Potężna pierś unosiła się i opadała. Kolczuga połyskiwała jak srebro w świetle księżyca, które wpadało przez wysokie i

wąskie okna.

Odległe, mrużące wezwanie nadleciało znowu. Brzmiała w nim nutka przynaglenia, ale słów dalej nie można było zrozumieć. Stary król podszedł przez ciemność w kierunku światła księżyca. Przekroczył przestrzeń i czas, aż ogarnęła go wirująca szara mgła, zamazująca wszystkie kształty przed oczami. Posuwał się ciągle naprzód drogą niepodobną do żadnej z dróg

materialnego świata, który pozostawił za sobą. Szedł przez lepką szarość mgły narodzonej z nocy.

Wezwanie, które wywołało duszę Conana z ciała do wnętrza tego świata, nadchodziło raz za razem. Stopniowo wzywający głos stawał się wyraźniejszy: Conan z Cymmerii! — Conan z Aquilonii! — Conan z Wysp!

Był zaintrygowany tym, co słyszał: co znaczyło to imię — Conan z Wysp? Taki przydomek nigdy dotąd nie był łączony z jego imieniem. Szara mgła rozrzedziła się, a zamiast niej zabłysło

przyćmione, nieziemskie światło. Conan stał teraz w gigantycznej sali, której hebanowe ściany i

wysoki, sklepiony strop sprawiały wrażenie wyrzeźbionych w martwej czerni pradawnej nocy.

Nikły, magiczny blask promieniował z posepnych murów, oświetlając kolosalną rzeźbę, która wyrastając z podłogi sięgała aż do sklepienia. Każdy cal czarnych ścian pokrywała płaskorzeźba

przedstawiająca nie kończące się szeregi maleńkich postaci. Były to miliony ludzi walczących ze

sobą lub pogrążonych w rozmyślaniach. Sądząc po osobliwych szczegółach ich ubiorów i broni,

pochodzili oni z zamierzchłych królestw w pradawnych eonach.

Gigantyczny gobelin wykuty w zimnym kamieniu ukazywał przekrój historii człowieka, od zapomnianych dni, kiedy to pochylony, włochaty małpolud siedł niezdarne przez dżunglę, a czarnoskrzydłe Ka, Dusza Stwórcza, unosiła się nad nim wieszcząc narodziny cywilizacji, dalej

przez czas, w którym Atlantyda, Lemuria, Valusia i Stary Gondor zmagaly się o władzę nad ziemią, aż po Kataklyzm i rozkwit potęgi Archeonu.

Ponad pochodem starożytnych królów i bohaterów unosiły się inne postacie — zniekształcone, niezgrabne i straszne. Conan znał ich jako Pradawnych Bezimiennych, którzy rządili gwiazdnym zbiorowiskiem Wszechświata na biliony eonów przed narodzeniem się Gayomara — pierwszego z ludzi.

Wtedy to Conan rozumiał, że jego dusza kroczy przez beczasowe marzenie, przywołana tu przez starożytną siłę, która czuwa nad ludzką rasą. Z niepokojem pomyślał, że stopa śmiertelnego

człowieka nigdy dotąd nie poruszyła pyłu, którego cienka warstwa pokryła hebanową podłogę przez niezliczone wieki. Potem jednak uświadomił sobie, iż kiedyś, w magicznym śnie stał już w

tym miejscu. Kierując się owym wspomnieniem, Conan przeszedł przez kolosalną, czarną gardziel do sali wewnętrznej.

Minęły już dziesiątki lat od dnia, w którym był tu po raz pierwszy, ale cóż znaczą efemeryczne pokolenia śmiertelnych ludzi dla tego, który śpi w trzewiach Golamiry, Góry Wiecznego Czasu?

Conan zbliżył się do szerokich schodów z czarnego kamienia, skręconych w spiralę, która wznosiła się do nieodgadnionej wysokości. Tutaj podobne do urwisk ściany ozdobiono tajemniczymi symbolami i rzędami egzotycznych napisów, tak starożytnych i tak sugestywnych,

że w Cymmerianinie ocknęły się szczątkowe wspomnienia po zwierzęcych przodkach, żyjących

w zaraniu czasów. Przebudzenie ukrytej głęboko we krwi pamięci Starych Czasów spowodowało, że Conanowi ścierpła skóra. Pośpiesznie odwrócił wzrok od owych rytów.

Wstępując na kręte schody, Cymmerianin zauważył, iż każdy stopień tworzyły wijące się zwoje koszmarnego Seta — Pradawnego Węża. Wiecznego i złośliwego Demona Ciemności, uchwyconego przez rzeźbiarza w chwili, gdy ze zwałów pradawnego szlamu wynurzał swe łuskowate cielsko. Zgodnie z wolą nieznanego twórcy, wędrowiec idący po tych schodach stawał

się symbolem człowieka wspierającego się na ślepych siłach chaosu. Krok za krokiem Conan wspinał się w górę.

W końcu zobaczył grobowiec, wyciosany z jednej bryły połyskującego kryształu. Gdyby to był diament, a tak właśnie wyglądał, to cały sarkofag byłby wart więcej niż wszelkie pieniądze

świata. Zimny kryształ połyskiwał tysiącami niespokojnych światel, podobnych do mnóstwa uwiecznionych gwiazd.

Po bokach sarkofagu, w posepnej ciszy krypty, wznosiły się potężne kształty dwu ogromnych feniksów, o szponiastych łapach i zakrzywionych dziobach, ze skrzydłami rozpostartymi tak, by

osłonić tego, który spał w diamentowym grobowcu.

Z hebanowej ciemności wyłoniła się postać w białej szacie, otoczona aureolą najczystszej światła. Conan bez słowa wpatrywał się w majestatyczną, brodatą twarz.

— Powiedz, o śmiertelny! — rzekła postać głosem głębokim i donośnym. — Wiesz, kim jestem?

— Tak — mruknął Conan. — Na Croma i Mitrę oraz wszystkich bogów światła, jesteś prorok Epemitreus, którego ciało rozsypało się w proch piętnaście wieków temu!

— Prawda, Conanie. Minęło wiele lat, gdy ostatni raz przywołałem twą uszpiętą duszę, by stanęła przede mną tu, w czarnym sercu Golamiry. Przez lata, które przeszły od tamtego dnia, mój nieśmiertelny wzrok śledził cię na wszystkich twych drogach, wędrówkach i wojnach. Tak

miało być. Wykonaliśmy wszystko zgodnie z wolą Przedwiecznego, który wysłał mnie tutaj jako

strażnika ludzkości. Lecz teraz ciemność wznosi się ponad wszystkimi krainami Zachodu.

Nadchodzi Cień, z którym jedynie ty ze wszystkich śmiertelnych ludzi możesz się zmierzyć.

Conan chciał przemówić, ale koścista ręka mędrca podniosła się nakazując milczenie.

— Słuchaj uważnie, Conanie! W dawno minionych czasach Władcy Życia dali mi siły i mądrość większą niż innym ludziom. Dzięki tym darom mogłem stanąć do walki z piekielnym

Setem, którego uśmierciłem, znajdując w tej walce również śmierć. To wydarzenie chyba znasz.

— Tak mówią stare księgi i legendy — odparł Conan.

— I tak było — potwierdziła świetlista postać. — Ty wiesz, o dziecię ludzkie, że od początku bogowie nazaczyli cię do wielkich czynów i nieśmiertelnej sławy. Ścieżka twa wiodła przez wiele pełnych niebezpieczeństw przygód; setki mrocznych i złych ludzi oraz wiele nieludzkich

sił skonało pod twoim mieczem. Bogowie są z ciebie zadowoleni.

Twarz Conana pozostała niewzruszona i nic nie odpowiedział na taką pochwałę. Głęboki i dźwięczny głos Epemitreusa mówił dalej:

— Oczekuje cię ostatnie zadanie, Cymmerianinie, zanim udasz się na należny ci spoczynek. Do tego zadania twa dusza została przeznaczona jeszcze przed początkiem czasu. Oczekuje cię

największe i najświetniejsze zwycięstwo, choć cena, jaką zapłacisz, będzie gorzka.

— Co to za zadanie i jaka będzie cena? — spytał bez wahania Conan.

— Zadaniem jest ocalić zachód świata przed Strachem, który teraz nawiedził twój kraj. Straszne fatum unosi się nad krainami ludzi, gotując im los straszniejszy, niż umysł twój może

pojąć. Strach zniewoli dusze twego ludu, podczas gdy ich ciała będą rozszarpywane w bestialskich męczarniach przez ręce, które powinny były rozpaść się w proch osiem tysięcy lat

temu!

Prorok utkwiał wzrok w posepnej twarzy Conana.

— Lecz by tego dokonać, musisz oddać tron oraz królewską koronę swemu synowi i zapuścić się samotnie na zamglone morskie pustkowia, za najdalszy horyzont Oceanu Zachodniego.

Popłyniesz tam, gdzie nie dotarł nigdy żaden śmiertelny z twej rasy, odkąd Atlantyda pogrzażyła

się w lśniące fale. Tej nocy ukradkiem i w tajemnicy wyruszysz w drogę. Nie wolno ci obejrzeć

się za siebie nawet w myślach. Pozostawisz za sobą, prócz tronu i korony, pismo o abdykacji.

Droga przez nieznanne morza jest długa i ciężka. Wiele niebezpieczeństw stoi pomiędzy tobą a twym celem. Nawet bogowie nie mogą cię przed nimi osłonić. Jednak tylko ty, ze wszystkich ludzi, możesz pójść tam mając nadzieję zwycięstwa. Twoja samotność będzie pełna chwały.

Zważ, że tylko kilku śmiertelnym dane było zbawiać swój świat!

Mędrzec uśmiechnął się do króla.

— Mogę ci dać jeden podarunek. Noś go stale przy sobie, gdyż w godzinie ostatecznej próby będzie on twym jedynym ratunkiem. Nie mogę powiedzieć ci nic więcej. W razie potrzeby tve

serce podpowie ci, jak użyć tego talizmanu.

Mgła połyskująca światłami, podobna do pyłu gwiazd, spłynęła z wyciągniętych dłoni proroka. Coś, jakby szkło, szczęknięło u stóp Conana, a ten bez słowa pochylił się i podniósł amulet.

— I jeszcze jedno — odezwał się Epemitreus. — Czarnoksiężnik, władca starej Atlantydy, używa symbolu Czarnego Krakena. Znak ten nadal zachowuje swą moc. Strzeż się go! — Idź teraz, dziecię Cromy — zakończył mędrzec — gdyż nie jest roztropnie błąkać się po królestwie

cieni, dokąd zawezwałem twego ducha. Wracaj do twojej cielesnej powłoki, a błogosławieństwo

bogów światła pójdzie z tobą, by oświetlać twą ciemną i straszną ścieżkę! Nigdy więcej nie zobaczysz już twarzy Epemitreusa. Ani w tym świecie, ani w wielu przyszłych, przez które w kolejnych żywotach będziesz wędrował i walczył. Żegnaj!

Conan obudził się gwałtownie i usiadł ciężko dysząc. Był mokry od potu. To tylko sen! — pomyślał. Wino ze środkiem nasennym i myśli zaprzątnięte kłopotami stworzyły tę niesamowitą wizję.

Nagle jego wzrok padł na przedmiot zaciśnięty w spotniałej dłoni. Był to malutki feniks wyrzeźbiony w połyskującym diamencie. Cymmerianin podjął ostateczną decyzję.

Trzy godziny później, gdy letnia burza błyskała i grzmiała nad Tarancją, ogromna postać zawinięta w obszerny czarny płaszcz i z twarzą skrytą pod kapturem wymknęła się tajną bramą

za mury miasta. Za nią pojawiła się inna wysoka postać, wiodąca krewkiego ogiera.

Zatrzymali

się na chwilę, a pierwszy mężczyzna sprawdził popręg i długość strzemion.

— Przekleństwo na to! — zabrzmiał młody głos księcia Conna. — To niesprawiedliwe!

Powinienem iść z tobą!

Conan potrząsnął przecząco głową.

— Crom wie, synu, że gdybym mógł wziąć kogoś ze sobą, to byłbyś nim ty. Poza tym nie jesteśmy parą biednych awanturników, by czynić tak, jak pokieruje nami własny kaprys. Nie możemy mieć władzy i chwały bez odpowiedzialności. Nauczenie się tej prawdy zajęło mi całe

lata. Idę być może po własną śmierć, ale ty pozostaniesz tutaj, by rządzić tym krajem, tak sprawiedliwie jak tylko możesz. Taka jest wola bogów — przerwał na chwilę, popatrzył synowi

prosto w oczy i rzekł: — Nie ufaj w zupełności żadnemu człowiekowi, ale daj więcej wiary tym,

których ja uważałem za wartych zaufania. Nie słuchaj nigdy pochwał, gdyż król przynęca pochlebców, jak padlina muchy. Zwracaj uwagę na ludzkie uczynki, a nie na ich słowa.

Nigdy

nie karaj przynoszącego złe wieści, ani też nie patrz krzywo na tego, który mówi ci gorzkie słowa, aby ludzie nie bali się mówić królowi prawdy. Żegnaj!

Conan wyciągnął do syna ramiona i uściskali się mocno. Potem Conn przytrzymał lejce i strzemie, a Conan skoczył na siodło. Przez kilka uderzeń serca postać w płaszczu spoglądała na



wyłaniające się z mroku wieże Tarancji — promiennego klejnotu Zachodu. Potem Conan spał konia ostrogami i pognął na południowy zachód. Pędził w strumieniach deszczu i pod rozświetlającymi ciemność piorunami, kierując się ku Argos i morzu. Tak oto najpotężniejszy wojownik świata wyruszył na swą ostatnią wyprawę.

I trony runą i królestwu,  
A wszystko skryje czerń ponura;  
Tylko on jeden płynie w dał mglistą,  
Ścigając swój los bezimienny.

„Podróże Amry”

3

„PUCHAR I TRÓJZĄB”

Burza zaczęła się po północy. Pioruny błyskały i migotały w ciężkich chmurach zgromadzonych nad zachodnim horyzontem. Wiatr wył jak stado wilków, zagłuszając ulewny deszcz.

Jednak w portowej karczmie „Puchar i Trójząb” w Messancji, królewskiej stolicy Argos, było ciepło i jasno. Potężny ogień huczał na kamiennym palenisku, wypełniając nisko sklepioną salę

miłym gorącem. Żeglarze, rybacy i przypadkowi podróżni schwytani przez ulewę siedzieli na drewnianych ławach przed długimi stołami, pijąc kwaśne argosańskie piwo lub

kosztowniejsze

zingarańskie wino. Cały cielak obracał się nad ogniem na skrzypiącym rożnie, a powietrze przenikał zapach pieczonego mięsa.

Dębowe drzwi otworzyły się z trzaskiem. Niektórzy z obecnych odwrócili się z zaciekawieniem i ujrzeli olbrzymią postać, owiniętą szczelnie czarnym płaszczem. Przybysz wszedł, a spływające

po nim strumienie wody utworzyły na podłodze kałużę. Pod czarnym kapturem wędrowca ludzie

w tawernie ujrzeli groźne, błękitne oczy w zbrązowiałej, ogorzałej od wiatru twarzy i srebrną od

siwizny brodę. Obcy zamknął za sobą drzwi, zdjął płaszcz i zaczął wykręcać z niego wodę.

Tłusty, spocony karczmarz z okrągłą, czerwoną twarzą, wycierając dłonie o fartuch podszedł z

pośpiechem, pytając o życzenie przybysza.

— Gorące piwo z korzeniami — mruknął groźny starzec, siadając blisko ognia — i podaj mi udziec tego cielaczka, którego zapach mówi mi, że jest już gotów. Pośpiesz się, człowieku!

Przemokłem do kości, zmarzłem do szpiku i zgłodniałem jak wilk!

Gdy karczmarz ruszył, by wykonać zamówienie, tęgi rudowłosy Argosańczyk, mocno podpity winem, wstał ze swego miejsca i stanął przy ogniu, kołysząc się lekko na piętach. Był to mężczyzna wielki i muskularny, z grubym karkiem i szerokimi ramionami zapaśnika. Jego małe,

świńskie oczka zdradzały w nim zadufanego półgłówka. Z szerokim uśmiechem podszedł do starca, gapiąc się na jego siwą grzywę i pokryte bliznami policzki. Conan zajęty rozkładaniem płaszcza na ławie nie zwrócił na niego uwagi.

— Kogo my tu mamy, chłopcy, he? — odezwał się Argosańczyk grubym głosem.

— Dla mnie wygląda on jak zingarański bukanier, Strabo — stwierdził jego kompan, stając tuż obok.

Strabo zmierzył obcego pogardliwym spojrzeniem.

— Niezbyt młody jak na bukaniera — zaszydził. — Siedząc tutaj wygląda raczej jak stary pies, a zajął, świnia, najlepsze miejsce w „Pucharze i Trójzębie”! Hej, siwobrody! Zwleczone swoje

stare kości gdzieś w kąt i pozwól nam trochę się ogrzać.

Conan podniósł gorejący wzrok. Złowrogie ostrzeżenie w spojrzeniu Cymmerianina tylko wzmogło złość pijanego Strabo. Dziecinna wściekłość zapłonęła w jego nabiegłych krwią oczach, a świńska twarz spurpurowiała.

— Mówię do ciebie, stary! — warknął i machnął nogą, by kopnąć Conana w goleń ciężkim butem.

Wszystkie głosy w karczmie nagle ucichły. Strabo był miejscowym osiłkiem i awanturnikiem. Kilku obecnych uśmiechnęło się, oczekując dobrej zabawy, gdy Strabo doprowadzi starca do wściekłości.

W drugim końcu sali, w mrocznym rogu, siedziała milcząca postać okryta grubym, granatowym płaszczem i w szerokim kapeluszu nasuniętym głęboko na twarz. Człowiek ten pochylił się teraz do przodu, z zainteresowaniem obserwując zwadę.

Conan skoczył jak rozdrażniony tygrys. W pierwszej chwili siedział gładząc parujący w ciepłe

płaszcz, w następnej błyskawicznym ruchem kościstej dłoni chwycił i ścisnął jak cęgami potężne

udo Strabo. Drugą ręką złapał go za byczy kark, po czym poderwał ciężkiego mężczyznę w górę

i cisnął nim przez całą salę. Ciało Strabo uderzyło o ścianę z siłą, która wstrząsnęła budynkiem, i

bezwładnie jak wór zważyło się na podłogę. Przez karczmę przeszedł szmer zdumienia.

Po chwili Strabo, z twarzą jeszcze bardziej spurpurowiałą, stanął słaniając się na nogach.

Rycząc przekleństwa ruszył przez salę z rozpostartymi rękami.

Conan wyszedł mu na spotkanie. Żelazna pięść Cymmerianina niczym młot uderzyła brzuch napastnika. Powietrze wyleciało z sykiem z ust Strabo, a twarz mu zszarzała. Argosańczyk zgiął

się wpół z bólu, a wtedy drugi cios Conana trafił go w twarz. Rozległ się trzask, od którego obecnych przeszły ciarki. Uderzenie to rzuciło Strabo w tył, na podłogę. Conan podszedł do niego i wepchnął nogą prosto do ognia.

Węgłe rozleciały się, płomienie przygasły. Zabrzmiał przeraźliwy skowyt. Kompani pokonanego zerwali się z miejsc i wyciągnęli go z paleniska. Głowa Strabo zwisała bezwładnie, a

jego ubranie dymiło. Krew z rozbitego nosa i zmiażdżonych warg spływała po brodzie i wsiąkała

w kubrak. Conan nie obejrzał się nawet, gdy Argosańczycy wynosili z sali swego nieprzytomnego kompana. Gdy wyszli, karczmę wypełnił chór rubasznych śmiechów, gratulacji i

komplementów. Conan zbył je lekkim uśmiechem i sięgnął po kufel piwa z korzeniami, które mu

akurat podano. Gdy pił aromatyczny, parujący napój, grzmiący okrzyk zagłuszył gwar w izbie:

— Na młot Thora i ogień Baala, jest tylko jeden człowiek w trzydziestu królestwach, który mógłby w ten sposób rzucić o ścianę tego tłustego durnia! To jest... Czy to możliwe?

Tłum rozstąpił się, jak woda przed dziobem okrętu, gdy rudobrody olbrzym siedzący przy jednym ze stołów wstał i śmiało podszedł do Conana. Człowiek ten miał na sobie wspaniałe, złotem obszywane, szkarłatne kaftan. Złote kolczyki zwisały mu z uszu po obu stronach łysej

głowy. Na brzuchu, za pasem z przepysznego jedwabiu, tkwiły sztylet oraz stalowa pałka, którą

można było rozwalić łeb wołu. Ciężki kord wisiał mu u boku, a buty ze wspaniałej kordowańskiej skóry okrywały do kolan grube nogi.

Conan obrzucił spojrzeniem spotniałą twarz z bystrymi, błękitnymi oczyma, skrzącymi się pod rudymi, krzaczastymi brwiami i zawołał radośnie:

— Sigurd z Vanaheimu, na szkarłatne wnętrzości piekieł! Sigurd Czerwonobrody! — ryknął chwytając tęgiego żeglarza w ramiona. — Ty stary, gruby morsie!

— Amra z „Czerwonego Lwa”! — wykrzyknął Sigurd.

— Sza! Powstrzymaj język, beko wielorybiego tranu! — syknął Conan. — Mam powody, by pozostać bezimiennym.

Sigurd skinął głową i znizywszy głos mówił dalej:

— Na piersi Badab i szpony Nergala, upiecz moje brzuch, jeśli twój widok nie rozgrzał serca starego żeglarza!

Uściskali się znowu jak rozsierzdzone niedźwiedzie, po czym przeszli na bok, okładając jeden drugiego szturchańcami, które zwaliłyby z nóg mniejszych mężczyzn.

— Sigurd, na Croma! Siądź i wypij ze mną, stary wielorybie! Karczmarzu! — zagrzmiął Conan. — Dzban piwa i gdzie jest ten przekłety udziec?

— Na złoty miecz Mitry i milową włócznię Woduna, przez te trzydzieści lat nie zmieniłeś się ani trochę! — powiedział Sigurd, kiedy spełnili toasty. Przeciągnął purpurowym mankietem przez porośnięte szczeciną usta i czknął potężnie.

— Nie zmieniłem się, ty kłamliwy, stary hultaju? — zachichotał Conan. — To dlaczego, trzydzieści lat temu, jednym ciosem pięści mogłem przetrącić kark, a teraz już tylko łamię szczękę? — westchnął ciężko. — Ojciec Czas ściga nas bez litości i w końcu dopnie swego...

Ty

się także zmieniłeś, Sigurdzie. Ten gruby brzuch był płaski jak pokładowa deska, gdy widzieliśmy się ostatni raz. Pamiętasz, jak utknęliśmy za Bezimienną Wyspą, nie mając nic prócz

szczurów w ładowni i kilku cuchnących ryb w dziurawej beczce.

— Tak, tak — roześmiał się tamten, ocierając łzy wzruszenia. — Niech będzie przekłety mój brzuch! To prawda, zmieniłeś się, stary Lwie! Nie było wtedy srebra w twojej czarnej grzywie.

Tak, tak, obaj byliśmy młodzi i pełni wigoru. Ale niech mnie utopia! Słyszałem od jednego z Bractwa, że królowałaś nad jakimś śródładowym królestwem? Brythunią, czy inną Koryntią?

Nie

mogę sobie przypomnieć którym. Ale na szczęki Molocha i zielone wąsy Lira, cieszy mnie, że

cię znów widzę po tych wszystkich latach!

Nad gorącą pieczenia i piwem z korzeniami dwaj starzy druhowie długo jeszcze snuli wspomnienia. Wiele lat temu, kiedy Conan był członkiem Czerwonego Bractwa z Wysp Barachańskich, archipelagu leżącego na południowy zachód od wybrzeży Zingary, on i rudowłosa Sigurd byli wielkimi przyjaciółmi. Ich ścieżki długo się nie rozdzielały. Teraz spotkanie starego kompana stało się dla samotnej duszy Cymmerianina tym, czym mocne wino dla ciała.

— Kiedy więc obudziłem się — zakończył swoją opowieść Conan — napisałem rozporządzenie o abdykacji na korzyść mojego syna, który będzie teraz rządził jako Conan II.

Na

Croma! Nie było nic, co trzymałoby mnie w Tarancji. Dwadzieścia lat rządzenia, ustanawiania

praw i wytargowywania traktatów pozostawiło po sobie gorzki smak w moich ustach. Dawno temu pokonałem wszystkich sąsiednich królów, którzy mieli ochotę pokłócić się ze mną.

Odkąd

upadli Czarni Adeptci, nie trafiła się żadna prawdziwa wojna. Omal nie rozchorowałem się od tego pokoju i dobrobytu!

Na chwilę Conan pograżył się w zadumie, wpatrując się w swoją przeszłość.

— Prawda — westchnął — Aquilonia jest piękna i zielona, a ja starałem się być dla niej dobrym królem. Odeszli jednak moi starzy przyjaciele. Publius, kanclerz, który umiał zyskać trzy

sztuki złota tam, gdzie wyłożył jedną. Trocero, który pomógł mi zdobyć tron. Pallantides, generał, który zawsze wiedział, co zrobi jego wróg, zanim ten sam zdołał na to wpaść.

Wszyscy

odeszli. Kiedy zaś moja Zenobia zmarła dając mi córkę, powietrze Tarancji stało się dla mnie nieznośne.

Prychnął i przełknął łyk piwa.

— Wszystko było w porządku, gdy chłopiec był jeszcze mały. Cieszyłem się ucząc go, jak używać haku, miecza i włóczni, konia i rydwanu. Teraz jednak już wyrósł i będzie żył własnym

życiem, bez cienia zrzedzającego starca, snującego mu się za plecami. Epemitreus nie musiał

mnie wzywać. Nadszedł czas ruszyć po ostatnią przygodę. Na Croma, zawsze przerażała mnie myśl

o

umieraniu w łóżku, w towarzystwie szepczących medyków i dworaków robiących głupie miny.

Potrzebne mi ostatnie pole bitwy, na którym mógłbym paść. To wszystko, o co prosiłem bogów.

— Tak, tak — zgodził się z nim Sigurd i pokiwał głową, a odbłyski ognia zamigotały w jego złotych kolczykach. — Podobnie jest i ze mną, Lwie. Chociaż nigdy nie dostałem z ręki losu korony ani królestwa, to i tak porzuciłem korsarstwo lata temu. Pływałem ostatnio statkiem handlowym pomiędzy Messancją i Kordową. Czy możesz sobie wyobrazić Sigurda Rudobrodego, postrachu kupców, kupczącego? — Jego wielki brzuch zatrząsł się od śmiechu.

—

Ale to nie było z tego najgorsze. Tak jak ty, Lwie, i ja ustatkowałem się z jedną kobietą. Była wspaniała. Musiała mieć trochę piktyjskiej krwi w żyłach. No cóż, wychowaliśmy kupę wrzaskliwych berbeci. Teraz są to chłopcy wielkie jak ja. Ona zmarła kilka lat temu, niech Frigga

pobłogosławi jej dzielne serce. Nasze szczenięta wyrosły i poszły na swoje, cóż więc zrobić ze

starcem, który nie umarł, he? No więc kiedy wyprawilem z domu ostatnie dziecko, sprzedałem

wszystko. Teraz jestem w powrotnej drodze do Tortagi, by po raz ostatni posmakować życia, zanim nadejdzie najdłuższa noc. A co z tobą, Lwie? Ruszaj ze mną, człowieku, wrócimy na piracki pokład. Niech Set porwie te upiorne prorocтва! Płynmy do Stygii plądrować Khemi o czarnych murach! Ugrzęzłem jak szczur lądowy, ale teraz albo obaj dostaniemy włóczniami

we

flaki i przejdziemy jako herosi do sag, albo nagramy więcej złota niż Trancos, Zorano i Strobaki razem wzięci! He, co na to powiesz, przyjacielu? Pomiędzy nich padł nagle czyjś cień.

Conan spojrział w górę kładąc rękę na główicy miecza.

— Poszukujecie statku, panowie? — powiedział półgłosem mężczyzna w szerokim,

osłaniającym twarz kapeluszu. Cymmerianin przyjrzał mu się podejrzliwie, nieznajomy zaś usiadł koło nich i położył dłonie na stół, tak by było widać, iż nie trzyma w nich broni. — Tak się

złożyło, że słyszałem to i owo z waszej rozmowy — ciągnął intruz łagodnie. — Proszę, wybaczcie mi to natręctwo, ale jeśli poświęcicie mi kilka chwil, myślę, że możemy omówić pewien wzajemnie korzystny interes.

Sigurd spoglądał niepewnie, ale i z ciekawością. Conan wysłuchał mężczyzny bez mrugnięcia okiem. — Mów zatem — zgodził się Cymmerianin.

Tamten skłonił się uprzejmie.

— O ile nie zrozumiałem źle, obaj jesteście starymi żeglarzami, myślącymi o nabyciu statku i powrocie do zawodu na... hm... pirackich wyspach? Nie, nie obawiajcie się niczego — podniósł

uspokajająco dłoń. — Nie jestem szpiegiem, ale mógłbym wam pomóc nabyć odpowiedni statek.

Szybko, jak ruch atakującego węża, ręka obcego znikła wśród fałdów płaszcza i pojawiła się znów, by wysypać na stół pełną garść migoczących klejnotów. W świetle ognia zabłysł przed nimi istic księżęcy skarb. Były tu szafiry, błękitne jak południowe morza, szmaragdy, jak pałające w ciemności kocie oczy, topazy, żółte jak skóra Khitajczyków, oraz rubiny, szkarłatne

niczym świeżo rozlana krew.

Conan, nie wzruszony, spojrzał gniewnie na obcego.

— Wpierw — warknął — chciałbym wiedzieć, kim jesteś?! Niech mnie diabli, ale nie wezmę podarunku od człowieka, który ukrywa swą twarz tu, w Messancji, gdzie strażnicy króla Cassio

snują się na każdej ulicy, czyniąc to miasto bezpiecznym aż do obrzydliwości.

Obcy odpowiedział z uśmiechem:

— Dziękuję ci za niezamierzony komplement, żeglarzu! Ukrywam twarz ze słusznego powodu, jako że lud Argos zna ją aż nadto dobrze!

— Mów zatem, jak się nazywasz! — syknął Conan. — Bo rzucę tobą przez salę, tak jak tamtym półgłówkiem.

— Przyjemnie było patrzeć, z jaką swobodą to uczyniłeś — roześmiał się tamten i wyprostowawszy się rzekł łagodnie: — Wiedz zatem, Conanie z Aquilonii, że jestem Cassio, król

Argos!

Conan chrząknął zdziwiony. Obcy wyciągnął przed siebie rękę i przekreślił na palcu pierścień, którego diamentowe oko ukryte było dotąd we wnętrzu dłoni. W świetle ognia zabłysł wyryty w

kamieniu starożytny herb argosańskiej dynastii.

Czarne fale łamią się o mokry, czarny brzeg

Lecz za nic nam i grzmot

i bogów burzy ryk

choć trzeszczy pokład,

my czekamy na świt.

Głosem mewy się skarży przeklęty duch,

na fale co zmyły go w toń

Lecz za nic nam to,

bo póki wino jest w dzbanie,

my ciągle czekamy na świt!

„Szanta barachańskich piratów”

Tortaga wyla do gwiazd. Piracki port w skalnej zatoce jaśniał od świateł i rozbrzmiewał zawodzącymi pieśniami. To ucztowało Czerwone Bractwo. Wysokie karaki i wąskie karawele kołysały się na cumach wzdłuż kamiennego nabrzeża i drewnianego mola. Każda piwiarnia, winiarnia czy zamtuż robiły dziś znakomite interesy. Połowa korsarzy Morza Zachodniego szalała po ulicach Szkarłatnej Tortagi. Jedni z sakiewkami pękającymi od złota i brzuchami bulgocącymi od piwa i wina. Inni wydawali ostatnie miedziaki.

Szyldy winiarń ozdobione czaszkami, pochodniami, skrzyżowanymi szablami, smokami, gryfami, koronowanymi głowami czy innymi godłami łomotały na ostrym morskim wietrze. Przybój huczał rozbijając się u stóp urwiska.

Słone bryzgi leciały z wiatrem od portu, rozchlapując się o mury i dachy domów z żelaznymi kratami na oknach.

Już ponad dwa wieki małe miasteczko w zatoce otoczonej urwiskiem było stolicą królestwa piratów, pustoszących morza pomiędzy krajem Piktów i Kush. Jedynym prawem była tu pięść,

nóż, miecz i bojowa zręczność.

Tej nocy miasto zionęło radością i śpiewem. Pirackie pojedynki o obrazę rzeczywistą, czy zmyśloną, wybuchały na ulicach raz po raz. Natychmiast pierścień mężczyzn gromadził się dookoła walczących, którzy zadawali sobie śmierć za przypadkowy kuksaniec, błąhą obrazę czy

przychylność jakiejś kołyszącej biodrami dziewczki. To była pamiętna noc. Dwa słowa były na wszystkich ustach: Amra wrócił!

Trzydzieści lat nie pogrzebało w zapomnieniu tego złowieszczego imienia. Przeciwnie, przemijający czas dodał świeżego blasku do legend z tamtych dni, kiedy Conan żeglował wraz z

Belit z Shem, Czerwonym Otho czy okrutnym Zaporavo z Zingary.

Przez kilkanaście lat statki Cymmerianina: galera „Tygrysica”, karawela „Czerwony Lew” i karaka „Nicpoń”, przemierzały morza, powracając ciężko wyładowane skarbami.

Przez ten czas Amra, jak zwali Conana piraci, wznosił się wysoko wśród kapitanów Czerwonego Bractwa. Potem zaś zniknął gdzieś wewnątrz łądu i nie słyszano o nim więcej na oceanie. Opowieści i legendy dochodzące z wewnętrznych królestw mówiły o niezwykłym

królu—wojownikowi imieniem Conan, w którym tylko kilku starszych żeglarzy rozpoznawało

pirata z minionych dni. Tak to Amra stał się cieniem z zatartej przeszłości.

Lecz teraz Amra był znów pośród nich. Płomyki pochodni migotały i skrzyły się na koleczudze okrywającej jego masywny tors, a wielki czarny płaszcz łopotał mu na plecach, niczym skrzydła

drapieżnego ptaka.

Conan stał na kamiennej ławie na środku głównego placu Tortagi, a jego głos wznosił się jak grzmot trąby ponad pomruk tłumu. Głos ów nappełniał serca słuchaczy echem wspaniałych czynów i chwałą bitew stoczonych dawno temu i przyrzekał nowe tryumfy. Cymmerianin ogłaszał zaciąg na wyprawę w głąb Morza Zachodniego. Do wnętrza wiatrem wychłostanych morskich pustkowi, gdzie żaden statek nie zapuścił się za ludzkiej pamięci. Któż jak nie Amra śmiałyby marzyć o takiej przygodzie?

Słuchali z rozdziawionymi ustami, upajając się magią zawartą w słowach Cymmerianina.

Conan przyrzekał im złoto i klejnoty, bogactwo i chwałę, sławę. Mówił o wielkiej podróży w

Nieznane, przez niezbadane morza, pomiędzy zapomniane wyspy i dziwnych ludzi.

Ryzykując

życie pośród głębokich bezimiennych mórz, mieli powrócić stamtąd nie jako pozbawieni praw

hultaje, lecz jako legendarni herosi, których nieśmiertelna sława uwieczniona w pieśniach i opowieściach trwać będzie przez wszystkie nadchodzące stulecia. W porcie na kotwicy stał statek

Amry — mocny, potężny karak, zwany „Czerwony Lew”, tak samo jak karawela

Cymmerianina

z dawnych czasów.

Conan nie wyjawiał im całej prawdy. Nie powiedział o królu Argos, Cassio, za którego klejnoty kupiono ten statek. Nie wspomniał też o Czerwonych Cieniach i zjawie Epemitreusa. Strach zabrał bowiem nie tylko kilkuset poddanych Conana. Tajemnicze przekleństwo spadło również na mieszkańców Argos. Nadworny czarodziej króla Cassio i jasnowidze wyczytali z gwiazd wróżbę. Otworzyli dawno nie ruszaną księgę wiedzy magicznej i oznajmili, że

Czerwony

Cień atakuje z jakiegoś tajemniczego królestwa leżącego za niezbadanym Oceanem Zachodnim.

Przenikliwy król Argos wysyłał statek za statkiem na Morze Zachodnie, ale żaden z nich nigdy nie powrócił z rozwiązaniem tajemnicy. Wreszcie królewskich marynarzy i kapitanów zaczęło ogarniać przerażenie na samo wspomnienie o wyprawie na zachód. Czerwony Cień nadal

jednak uderzał i porywał ludzi, a królestwo stanęło na krawędzi buntu.

Tak to, krążąc w przebraniu po ulicach Messancji, król Cassio szukał zuchwałego kapitana, który podjąłby się tej wyprawy. Znalazł takiego człowieka w osobie Conana Cymmerianina, którego tożsamość szybko odgadł, ale był zbyt roztropny, by zdradzić ten fakt. Pośród tłumu było

kilka twarzy znanych Conanowi z dawnych pirackich dni i do nich zwracał się przede wszystkim.

Jeden gigantyczny, szczerzący białe zęby Kuszyta przyciągnął wzrok Cymmerianina.

Ramiona

Murzyna błyszczały jak naoliwiony heban w świetle pochodni, a masę kręconych, czarnych włosów przetykały szare pasma.

— Ty mnie znasz, Yasunga! — zawołał Conan. — Byłeś wtedy młodzieńcem, kiedy wędrowałem przez Czarne Wybrzeże u boku twojej zuchwałej pani, Belit. Co z tobą?

Przyłączysz

się do mojej wyprawy?

Yasunga podniósł ręce z okrzykiem radości.

— Jo, Amra! Amra! — zaryczał upojony starymi wspomnieniami.

— Do tyłu, czarny psie! — warknął ktoś pogardliwie i szczupła postać o zawziętej twarzy przepchnęła się przed Murzyna. Mężczyzna ten zwrócił się do Conana i utkwiał w nim swe zimne

i pełne jadu oczy.

Conan spojrział na intruza spod przymrużonych powiek, obejmując wzrokiem bladą twarz ze smolistymi brwiami i wąskimi ustami, żylaste ciało w napierśniku z inkrustowanej złotem, polerowanej stali oraz wąską dłoń, otoczoną gąszczem koronek, pieszczącą wytartą rękojeść długiego, abordażowego rapiera.

Miękkim głosem, z zingarańskim akcentem mężczyzna zawołał do tłumu:

— Wracajcie do swych nor, psy! Czyż chcecie wysłuchiwać tego pomyłonego, starego głupca,

który pojawił się tu nie wiadomo skąd, by wabić was na szaleńcze wyprawy w nieznanę?  
Może  
być, że to ten sam Amra, o którego wyczynach słyszeliśmy, a może nie. Któż to wie? Amra,  
czy  
nie, ten bałamutny stary wilk przybył do nas, by zniszczyć Bractwo. Cóż obchodzą nas  
przygody  
i chwała? Jesteśmy praktycznymi ludźmi, zarabiającymi na życie z morza, a nie, do jedenastu  
szkarłatnych piekieł, herosami zamroczonymi marzeniami! — Spojrzał pogardliwie na  
Conana i  
warknął: — Nie szukaj sposobu, by zwabić mojego nawigatora, Yasungę, na swój pokład,  
siwy  
psie. Wyuczyłem go wiedzy o słońcu i gwiazdach i na Mitrę, zostanie ze mną, Czarnym  
Alvaro z  
„Sokoła Zingary”! Zatem podnieś kotwicę i zabierz swój tyłek do jakiegoś innego portu  
marzeń,  
skąd go przyholowałeś. My tu nie mamy czasu na tobie podobnych szaleńców.  
Alvaro zaczął odwracać się, by przejść przez szemrzący tłum, gdy Conan powstrzymał go  
wybuchem śmiechu i splunięciem pod nogi.  
— Czy to ja mam być tym starym, siwym psem, ty zniewieściały eleganciku, wypatroszony  
pętaku z bezimiennych rynsztoków Kordowy? Byłem kapitanem Bractwa, kiedy ty rzygałeś  
jeszcze zsiadłym mlekiem twej matki. Ja rzucałem złoto z tuzina miast na ulice Tortagi, gdy  
ty  
gmeraleś w rozporku na tyłach zingarańskiego zamtuza. Jeśli nie masz odwagi na prawdziwą  
wyprawę, wracaj z powrotem do swej cuchnącej budy. Tutaj są inni, mający więcej męskości  
w  
jednej ręce niż ty w całym ciele. Mówię do nich, nie do ciebie. Prawda, jestem stary, ale  
pamiętam jeszcze jedną czy dwie sztuczki, które ci z przyjemnością pokażę, jeśli zechcesz.  
Czarny Alvaro odwrócił się z przekleństwem, a jego rapier zabłysnął jak ognista igła. Tłum  
wrzeszcząc uformował się w pierścień.  
Conan odrzucił na bok wydęty wiatrem płaszcz i sięgnął po swój aquiloński miecz. Lecz  
zanim ostrze zdołało opuścić pochwę, Alvaro pchnął rapierem z tancerską gracją.  
Stalowy szpic śmignął przed twarzą Conana, ale on kopniakiem odtrącił ostrze i zeskoczył z  
ławki. Miecz zaśpiewał sykliwie i dźwięcząc jak dzwon, spotkał zingarański rapier. Muzyka  
stali  
zabrzmiała wśród szumu wiatru. Przeciwnicy okrążali się, posuwali naprzód, cofali, ciąli,  
parowali i zadawali pchnięcia. Pochodnie rzucały ich rozedrgane cienie na mury najbliższych  
domów.  
Ludzie wstrzymywali oddechy, gdyż Alvaro z „Sokoła” był uważany za najlepszego  
szermierza Bractwa, siwy Amra zaś był niewiadomym przeciwnikiem. Wszyscy szacowali  
jego  
ogromną masę i potężne członki przeciw szczupłej postaci i zwinności Zingarańczyka.  
Stawiali  
zakłady podnieceni zmieniającymi się szansami.  
Alvaro prędko stwierdził, że jego ostrze nie może przebić się przez zastawy Conana. Wielki,  
szeroki miecz tworzył ruchliwy pancerz, mimo iż powinien być zbyt wolny i nieporęczny w  
walce przeciw lekkiemu ostrzu rapiera. Jednak we wprawnych rękach Conana miecz poruszał  
się  
tak lekko, jak wierzbowy różga, a na zawziętej twarzy starego Cymmerianina nie było ani  
ślada  
zmęczenia wagą broni. Ramię Conana wydawało się równie nieznużone, jak żelazna sztaba.



Pot załśnił na czole Alvara, popłynął po jego wąskich wargach i ściekał po szyi. Zingarańczyk wiedział, że jeśli ostrze jego rapiera napotka tamto lecące pełną szybkością, to zostanie strzaskane na kawałki.

Conan jednak nawet nie próbował wykorzystać ciężaru swego miecza. Wciąż tworzył przed sobą lśniący mur ze stali, przez który nawet czubek zingarańskiego ostrza nie mógł się przecisnąć. Od czasu do czasu Conan śmiał się radośnie z głębi serca. Bawił się coraz bardziej zmęczonym Zingarańczykiem, aż Alvaro uświadomił sobie z przerażeniem, że w każdej chwili

Cymmerianin może odbić w bok jego ostrze i po prostu przeciąć go na pół.

Tłum idąc za przykładem ogromnego Kuszyty, Yasungi, rozpoczął monotony zaśpiew, który wkrótce podjęło setki gardeł, aż w końcu całym placem wstrząsnął jeden, pulsujący grzmot:

— Amra! Amra! Amra!

Krzyk podnosił się i opadał, hucząc jak fala przyboju. To do reszty rozstroiło nerwy Alvaro. Pirat jedną ręką sięgnął za siebie, pod czarną opończę z aksamitu. Tam tkwił wsunięty za pas shemicki sztylet o falistej klindze. Palce objęły rękojeść i wyciągnęły ostrze, tak że stał ułożyła

się wzdłuż przedramienia.

Wtedy oderwał się od przeciwnika i cofnął kilka kroków. Stał zdyszany i potargany. Conan błysnął ostrzem miecza ostatni raz i opuścił je.

— Masz dość, zingarański parobku? — warknął stary Lew.

Sztylet mignął w świetle pochodni, lecąc przez ciemną przestrzeń pomiędzy przeciwnikami, ku nagiemu gardłu Conana. Pewnym ruchem lewa ręka Cymmerianina uniosła się i schwyciła sztylet za rękojeść, wyłapując go w locie.

Tłum zawył z zachwytu. Wszyscy słyszeli legendy, że górale z bajecznej krainy na wschodzie zabawiają się pomiędzy sobą w podobny sposób, wyłapując lecące ku nim noże, ale nikt dotąd

tego nie widział. Nikt nie wiedział, że Conan spędził długie lata na stepach Hyrkanii, na wybrzeżach Morza Vilavet i wśród potężnych Gór Himeljańskich, że będąc najemnikiem, przywódcą nomadów i piratem na wewnętrznym morzu, stał się mistrzem w posługiwaniu się łukiem Hyrkaniańczyków, ostrym tulwarem Zuagirów, rozwidlonym nożem Zhaibarów i innymi

rodzajami wschodnich broni.

Głębokie przerażenie zaszklilo oczy Alvaro. Powietrze zaczęło go dusić. Rozerwał koronki kołnierza pod szyją i stał niepewny, jakby nie wiedział, co teraz nastąpi. Napięcie wzrastało niczym napinająca się niewidzialna cięciwa.

Conan zwrócił nóż, który błysnąwszy w powietrzu, zatonął po rękojeść w obnażonym gardle Alvaro. Zingarańczyk stał przez chwilę na chwiejnych nogach, z twarzą bladą jak talerz zsiadłego

mleka, a krew ściekała po jego wypolerowanym pancerzu. Wreszcie padł z brzękiem stali na bruk.

Conan podrzucił miecz w górę, schwycił go i wsunął do pochwy.

Tłum oszalał.

— Amra! Amra! Amra!

Tam Kraken mieszka, co przez wieki rósł  
z gnijących okruchów mułu,  
i z ziemi co od wieków trwa  
pod szarym, pełnym smoków morzem.

„Proroctwo Epemitreusa”

## CZARNY KRAKEN

„Czerwony Lew” był o trzy dni drogi od Wysp Barachańskich, kiedy załoga dostrzegła zieloną galereę.

Świtem trzeciego dnia, nagi do pasa, ale z mieczem u boku, Conan stał na rufowym pokładzie oddychając głęboko słonym wiatrem. Wschodzące słońce zalało złocistymi promieniami wschód

i rozpalało długie, rzadkie chmury. Rzeński północno-wschodni pasat śpiewał w takielunku i wybrzuszał szerokie żagle nad głowami krzątającej się załogi.

— Hej, Amra! Wstałeś równo ze świtem, hej! — zahuczał głęboki głos.

Conan obrócił się i zobaczył Sigurda stojącego w rozkroku przy burcie i ryczącego śmiechem w napadzie dobrego humoru. Wiatr rozczochrał płomienne gąszcze jego brody, rozpostarł

poły purpurowego płaszcza, który kiedyś ozdabiał plecy pompatycznego, zingarańskiego admirała. Conan uśmiechnął się na widowisko, jakie robił z siebie prostoduszny żeglarz z Północy.

Złota nić, pokrywająca niegdyś jego płaszcz kosztownymi haftami, była już przetarta i straciła połysk. Kilka z wielkich guzików z kości słoniowej przepadło. Szarfa najeżona pół tuzinem sztyletów jak zwykle opasywała potężny brzuch Sigurda, podtrzymując jeszcze maczugę i olbrzymią zakrzywioną szablę z poszczerbionym ostrzem. Pod płaszczem stary Vanir nosił połataną białą bluzę, poznaczoną plamami od wina i tłuszczu, która rozchełstana do pępka ukazywała czerwone, szczeciniaste włosy porastające jego pierś. Jaskrawa chusta owinięta

dookoła tysej głowy, a połyskujące złote kółka chygotały się u płatków uszu.

— Ach! Na róg Hemidała i zasłonę Tanit, toż to jest ranek godny samych bogów, czyż nie, Lwie? — odezwał się znów Sigurd. — To jest jak stare wino; być znów na morzu z dobrym pokładem pod piętami i z szelmowską załogą podrzynaczy gardeł, którzy na zawołanie

napętnią krwią dziewięć mórz!

— Aye! — odrzyknął Conan. — To mocny statek, a na nim mnóstwo wytrawnych łotrów! Spojrzał w dół na śródokręcie, gdzie załoga szorowała pokład” i wykonywała inne marynarskie prace. Legenda Amry zapewniła komplet załogi. Była to setka zaprawionych w bojach morskich wilków, spragnionych łupów i chwały. Tworzyli różnorodną gromadę, cuchnącą

dziegciem i kwaśnym winem, ale stanowili samą śmietankę piratów ze Szkarłatnej Tortagi.

Najwięcej było Argosańczyków — mężczyzn średniej wagi i mocnej budowy, o brązowych lub brunatnych włosach. Pomiedzy nimi krzątało się wielu śniadych i czarnobrewych

Zingarańczyków. Byli tu też ludzie z Ophiru i Koth, kilku ciemnych Shemitów o

haczykowatych nosach, z czarnymi, wpadającymi w błękit włosami i brodami oraz dwóch ogromnych, brązowoskórych Stygijczyków o sokolich rysach. Był krępy, jasnowłosy Zaproskanin —

Yakov, mistrz łuku, i oczywiście nawigator Yasunga, czarny gigant z dżungli Kush. Największe wrażenie jednak robił czerwonoskóry mężczyzna z kręconą brodą — Goram Singh z Venedhi, krainy leżącej tak daleko na wschodzie, że nawet Khitajczycy myśleli, że opowieści o niej to tylko legendy. Wszyscy oni: biali, brązowi, czerwoni czy czarni, byli doskonałymi żeglarzami.

Ostre spojrzenie błękitnych oczu Sigurda zatrzymało się na twarzy Conana.

— A teraz, powiedz, jaki masz plan, przyjacielu? Wspaniałe słowa i obietnice bogatego łupu to nie wszystko. Czego właściwie będziemy poszukiwać na Oceanie Zachodnim i dokąd dopłyniemy? Już trzy dni jesteśmy w drodze i nie wypatrzyliśmy nic prócz kilku wielorybów.

— To wie tylko Crom, nie ja! — odparł Conan. — Słuchałem ludzi mówiących o zatopionym kontynencie i legendarnych wyspach tam, gdzie słońce zachodzi. Ze słów wypowiedzianych przez cień Epemitreusa i rad astrologów króla Cassio wynika, że powinniśmy płynąć na zachód,

bacząc na wszystko, co wyda nam się niezwykle lub nieprawdopodobne. Niech mnie diabli, Sigurdzie, ale mam nadzieję, że znajdziemy kolebkę Strachu! Smak morskiego życia sprawił, że

poczułem głód walki. Pokój jest piękny, ale... — Conan wy dobył miecz z pochwy i ciął powietrze ze świstem głośniejszym niż szum wiatru.

Czerwonobrody wybuchnął basowym śmiechem, który zatrzęsł jego wydatnym brzuchem, po czym uniósł krzaczaste brwi spoglądając na Cymmerianina.

— Ho! Ho! Więc to w tę stronę wiatr wieje! Jesteś ciągle przebiegłym, twardym szelmą, jakiego dawniej znałem. Czy kiedy pokonamy ten wrogi cień, zawrócimy ku bardziej zyskownym okolicom? Jest wielu grubych kupców w Messancji i byłoby dobrym żartem plądrować statki Argos dzięki okrętowi kupionemu przez ich własnego króla, czyż nie? Conan uśmiechnął się okrutnym, cynicznym uśmiechem i klepnął Sigurda po ramieniu.

— Jesteś taki sam złodziejski stary mors jak dawniej! Nie, to już nie dla mnie.

— Nie mów mi, że przez te wszystkie lata powróciłeś do uczciwości!

Conan roześmiał się zło wrogo.

— Na pewno nie ja! Jednak byłem królem i nie bawi mnie smak drobnego złodziejstwa. Poza tym, Cassio nigdy nie przyczynił mi kłopotów, dlaczego ja mam mu je sprawiać? Conn też ma

dość problemów strzegąc granic przed sąsiednimi królestwami. Nie dołożę mu do tego wszystkiego jeszcze wojny z Argos.

— Zatem... czy zamyślasz dać łupnia Stygijczykom, tak jak proponowałem, gdyśmy się spotkali w Messancji? To okrutny i twardy naród, ale z taką załogą na pewno możemy...

Conan potrząsnął przecząco głową.

— Nawet i nie to. Bądź co bądź, byłem już królem korsarzy i zdobyłem krwawą sławę kilkadziesiąt lat temu. Dlaczego miałbym się raz jeszcze wspinać na ten sam szczyt?

— Cóż więc zamierzasz? — mruknął zniecierpliwiony Sigurd. — Gadaj, człowieku, na wszystkie płomienie piekieł!

Conan wyciągnął rękę i wskazał sękatym palcem horyzont.

— Daleko na zachodzie, przyjacielu, jest coś, o czym nic nie wiemy. Czerwony Cień jest tego częścią. Ze wzmianek w starych manuskryptach wiem, że pochodzi z pradawnych czasów — nagły śmiech zahuczał w piersi Conana. — Przedstaw mnie sobie jako uczonego.

— Łatwiej byłoby mi wyobrazić sobie jedną ze ślicznych tancerek z haremu Cassio jako krwawego pirata!

— No cóż, przeczytałem kilka rękopisów, a w królewskiej bibliotece w Tarancji znalazłem opowieść o tym, jak ocean pochłoniął Atlantyde osiem tysięcy lat temu. Wielu Atlantów uciekło

wtedy na stały ląd — Thurię, jak nazywali nasz kontynent. Zaś w żelazo oprawna Księża z Skelos mówi: „Inni uszli z zatopionej Atlantydy ku zachodowi i dotarli do kontynentu, leżącego

naprzeciw Thurii, a będącego granicą Oceanu Zachodniego. Co stało się z tymi uciekinierami, nie wiadomo, gdyż po zatonięciu Atlantydy szlaki oceaniczne okazały się zbyt długie dla statków. To wszystko co pamiętam.

— No tak — przyznał Sigurd. — Ja również słyszałem podobne opowieści.

— Jeśli więc przed nami leży ląd pełen potężnych czarowników, będzie to również ląd bogaty i mocny, gotów do oskubania, niczym gęś o złotym pierzu. Coś w sam raz dla naszych łotrzyków. Dlaczego mamy się czaić jak głupcy, szukając łupu z kilku statków, kiedy przy

odrobinie szczęścia możemy mieć całe imperium.

Sigurd westchnął i popatrzył zachmurzony na grzbiety swych owłosionych dłoni.

— Ach, Amra, powinienem wiedzieć, że masz w swej twardej czaszce projekt bardziej szalony i dziki, niż mógłby wymyślić każdy inny człowiek! Jesteś wspaniałą, stary Lwie, masz

na to moje słowo! Choćby ci czarownicy mieli nakarmić nami smoki, będę żeglował z tobą tak

długo, dopóki oceanu wystarczy!

Przerwał i spojrzał nieufnie ku słońcu. Z gniewnym parsknięciem ruszył na rufę, gdzie jednooki Shemita stał przy rumplu.

— Dosyć, ty garbatonosy psie! Oślepieś, czy jesteś pijany? — ryknął, odepchnął zaskoczzonego marynarza na bok i sam chwycił za rumpel. — Zboczyliśmy z ustalonego kursu o

pół rumba w ciągu ostatniej nocy. Amra! Przekleństwo i zgnilizna na te leniwe świnię!

Barachańskie łotry, na wnętrzości Ahrimana i piersi Isztar!

Zezując na słońce, pchnął rumpel pewnym ruchem. „Czerwony Lew” przechylił się nieznacznie, reagując niczym wytresowany koń i wrócił na kurs.

Wtem z góry rozległ się krzyk:

— Ahoj, żagiel!

Conan poderwał głowę i przemierzył wzrokiem szare, zamglone morze. Nic nie mógł dojrzeć.

— Gdzie?!?! — zahuczał przez złożone dłonie.

— Półtora rumba od lewej burty! — nadeszła odpowiedź ze szczytu masztu.

— Widzę go! — Stary Sigurd znów stał u boku Conana, sapiąc jak konający mors. — O jest!... i na wszystkich bogów, wygląda na galere!

Conan ocenił oczy dłonią i skupił się na wskazanym przez Sigurda punkcie. Tam, ponad kłębamii porannej mgły, widać było dwa nagie maszty. Kiedy „Czerwony Lew” uniósł się na kolejnej fali, wszyscy na rufowym pokładzie ujrzeli długi, niski kadłub galery.

— Cóż to, na szkarłatne piekła stygiańskich czcicieli Seta! — zagrzmiał Conan. — Co tutaj robi galera? Musimy być blisko lądu. Żaden szyper z olejem w głowie nie pożegluje tak daleko

od brzegu na takim statku!

Galera była coraz bliżej. Mogli już zobaczyć gładką linię niskiego, zielonego kadłuba. Słońce migotało na ociekających wodą dwu rzędach wiosł i na wysokim, zakrzywionym dziobie ozdobionym jakąś dziwną rzeźbą. Poniżej, na poziomie linii wody sterczał długi i ostry brązowy taran, pozieleniał od patyny i pokryty białymi cętkami skorupiaków.

— Hm, dziwne, Amra — mruknął Sigurd. — Nie powiewa na niej żadna flaga. Mówiłeś, że mamy szukać czegoś dziwnego...

Conan wzruszył ramionami.

— Co jest na dziobie? — zapytał. Sigurd przyjrzał się bacznie.

— Wygląda to jak czarna chmura z czerwonym środkiem lub czarna rozgwiazda.

Conan spojrzał groźnie na zieloną galere.

— To nie statek kupiecki, ale wojenna galera z taranem i podwójnym rzędem wiosł.

Pozwólmy jej przejść obok. Mogłaby nas mocno dziabnąć, a nie dać żadnego łupu...

To niezwykle — pomyślał — spotkać taki statek na tych rzadko odwiedzanych wodach...

Odrzucając do tyłu szarą grzywę, Conan zawołał do obserwatora na oku:

— Ahoj! Możesz rozpoznać znak na dziobie?

— Tak, kapitanie. To jakiś stwór, jakby płaszczka z mackami dookoła oczu!

— Sternik! — ryknął Conan. — Dwa rumby na lewą burtę, kurs na galere. Wszyscy na

pokład. Miecze, piki i tarcze, szybko! Przygotować się do zmiany żagli. Łucznicy na pokład

dziobowy! Yasunga, spotkanie burta w burtę. Zwijać się, wałkonie. Będzie walka, do której tak

żeście się rwali.

Sigurd spoglądał na niego zbity z tropu.

— Co to jest, w imię Mitry?

— Znak Czarnego Krakena, stary morsie. Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

Sigurd poszedł za Conanem do jego kajuty i stał obok, gdy Cymmerianin z pomocą chłopca okrętowego zakładał kolczugę i sznurował ciężkie buty. Brwi Sigurda zmarszczyły się w zamyśleniu. Wtem zmarszczki rozluźniły się, ale twarz zbladła.

— Czy masz na myśli — powiedział powoli — te stare opowieści o godle królów—czarowników z Atlantydy?

— Tak. Bierz teraz swój pancerz, zanim tamci rozsmarują twój gruby brzuch po całym pokładzie.

— Na morskich bogów! — powiedział Sigurd odwracając się powoli. — Kraken Atlantów, zatopiony osiem tysięcy lat temu... Badab i Isztar! Może to być?

Mimo iż nie był to kupiecki statek wiozący towary, zielona galera zawróciła i zaczęła uciekać przed „Czerwonym Lwem”. Na każdym z jej dwu masztów zakwitł trójkątny żagiel i wypełnił się

wiatrem. „Czerwony Lew” podążał dokładnie za nią.

Conan wspiął się na maszt i trzymając się jedną ręką, drugą osłonił oczy przed słonecznym blaskiem.

— Dziwne... — mruknął. — Wszystkie wiosła w ruchu, jednak niech zostaną stygijskim akolitą, jeśli mogą dojrzeć wiosłarzy na ławach. Wydają się puste, nie ma nawet wojowników,

żadnego nie widać na rufie czy na forkasztelu, nikogo przy żaglach...

Zszedł na pokład, gdzie stali Sigurd i Yasunga.

— Zielony statek z Piekla — odezwał się Yasunga głębokim, dźwięcznym basem. — Statek duchów, Amra!

— Zamknij się! — warknął Conan. — Statek z piekła czy z ziemi, ucieka tak szybko, jakby wioził cesarzową Khitaju z wszystkimi jej skarbami! Spójrzcie, jak rozcina fale! — Podniósł głos:

— Singh! Wciągnąć rufowy marsel! A jeśli któryś popłacze liny, to obedrę go żywcem ze skóry!

— Znow zwrócił się do Sigurda i Yasungi. — Jest szybki, z dwoma rzędami wioseł i żaglami, ale

my rozwijając wszystkie żagle, możemy go prześcignąć.

— Jest bez eskorty — mruknął Sigurd. — Czy kto słyszał co królewskiej galerze czy statku ze

skarbami pływającym po morzach samotnie?

Załoga zebrała się na wyznaczonych miejscach. Łucznicy na forkasztelu przeglądali strzały w kołczanach, by mieć pewność, że żadna z nich się nie wypaczyła. Na śródokręciu uzbrojeni korsarze zgromadzili się u nadburcia, zapinając pod brodą rzemienie hełmów i ostrząc kordy oselkami.

— Na Croma! — zagrział Conan. — Dowiemy się, co tak cennego wiozą, że na sam nasz widok uciekają jak przestraszona dziewczica!

Mężczyźni, podnieceni pościgiem, wznieśli dziki okrzyk. Sigurd, okryty już od karku po uda karacną z brązowych łusek naszytych na skórę, sapiąc wspiął się na rufowy pokład. Conan poklepał go po ramieniu.

— Crom i Mitra, stary morski koniu, przedsmak bitwy wzbiera w mym sercu tak, że czuję się jak stary rumak bojowy węszący krew!

Sigurd uśmiechnął się szeroko i ryknął radośnie głosem, który mógłby przynęcić samicę gryfa w okresie rui.

— No cóż, Lwie, stary Sigurd mówił o rzeczach, które można znaleźć i proszę, oto są! Czuję w kościach, że to będzie skarb, jakiego nie widzieliśmy przez całe nasze życie.

— Czyżby? — roześmiał się Conan. — Zatem ruszajmy po niego!

Ze wszystkimi żaglami wypełnionymi wiatrem karaka śmignęła przez fale w pościgu za swoją ofiarą. Dziób rozcinał szmaragdową toń, a biała piana kipiała za rufą. Przed nimi zielona galera przebiegała wiosłami niczym wielonogi owad, natomiast jej dwa trójkątne żagle upodobały ją do pradawnego motyla.

Zielona galera opuszcza zachód ukryty.

Znak Czarnego Krakena na jej dziobie wryto.

Pod pełnymi żaglami płynie z bajecznej krainy,  
w głębi ciemnej ładowni wiezie piekielne sekrety.

„Podróże Amry”

6

## MAGICZNY OGIENÍ

Słońce wisiało wysoko na czystym, błękitnym sklepieniu, kiedy „Czerwony Lew” dogonił wreszcie tajemniczą galerę. Cały ranek zielony statek uciekał przed nimi, jak gdyby jego wiosłarze nie znali ludzkiego zmęczenia. Dystans zmniejszał się stopa za stopą.

Conan, w rogatym, stalowym hełmie i długiej kolczudze, kroczył po pokładzie przeglądając broń i pancerze swojej drużyny. Potem wspiął się na rufę, gdzie stojący w rozkroku Sigurd obserwował każdy ruch galery i wykrzykiwał komendy do sternika.

— Rezygnują z ucieczki i zawracają — oznajmił Sigurd.

To była prawda. „Czerwony Lew” niebawem zbliżył się na odległość strzału z łuku. Conan spojrział na pokład dziobowy, gdzie za osłoną z wikliny stał łucznik Yakov oczekujący rozkazu.

— Dziwne, Amra — zauważył Sigurd — ciągle nie ma nikogo na pokładzie!

— Tak — zgodził się Conan. — Ale w końcu będą musieli wyjść, by odeprzeć abordaż.

Zwróciwszy się ku dziobowi, Cymmerianin zawołał:

— Wysłać strzałę!

— Aye, aye, kapitanie! — odkrzyknął Yakov i trącił w ramię jednego ze swoich ludzi.

Mężczyzna naciągnął łuk aż do ucha i zwolnił cięciwę z lekkim brzękiem. Strzała zatoczyła łuk

ponad wodą rozdzielającą statki i spadła dziesięć stóp za blisko. Przez krótką chwilę panowało

milczenie i było słycać tylko westchnienie wiatru i plusk fal.

— Wysłać drugą strzałę!

Tym razem pocisk trafił w cel, uderzając w malowane deski nadburcia.

— Salwą! — ryknął Conan.

Aye, aye! — Yakov dał znak łucznikom. Zaraz potem wszystkie łuki wypuściły strzały.

Chmura pocisków ze świstem spadła na cel, znikając w większości za nadburciem tamtego statku.

Cymmerianin z uwagą przyjrzał się pracy wiosł galery. Taki grad strzał zwykle musiał dosięgnąć kilku wiosłarzy, dezorganizując zgrany rytm wiosłowania, aż do czasu zastąpienia trafionych ludzi lub wciągnięcia bezużytecznych wiosł.

Lecz na zielonej galerze nic się nie zmieniło.

— Musi mieć zakryty pokład — stwierdził Conan.

— Próbują nas staranować! — zawołał Sigurd.

— Dobrze. Utrzymaj dziób na wprost ich. Jeśli trafimy dokładnie, to złamiemy im taran.

Vanir zaczął wrzeszczeć na sternika i marynarzy na rejach. Niebawem żagle ustawiono tak, by

wzięły boczny wiatr i statek ruszył wprost na galere. Tam niewidzialne ręce wciągnęły na maszty

nowe płótna.

Galera zakończyła swój manewr i oba statki pomknęły dziobami na siebie. Z rufy Conan miał doskonały widok na pokład przeciwnika. Nie było tam żywego ducha.

Wtem obcy kapitan najwyraźniej stracił odwagę na widok potężnego taranu „Czerwonego Lwa” prującego zawzięcie fale i galera wykonała nagły zwrot na lewą burłę, przechylając się ostro. Byli już o pięćdziesiąt kroków i Conan wyraźnie widział czarną rzeźbę zdobiacą dziób wrogiego statku, podobną do okrągłej chmury ciemnej mgły, z której środka odchodziły mackowate wstęgi. Jednak najbardziej niesamowite były szkarłatne oczy płonące wściekłością i siłą.

Ciągle nikogo nie było na pokładzie. Zielona galera mogła być rzeczywiście statkiem upiorów.

— Nie ma obserwatorów na masztach! Nie ma nawet sternika — mruknął Sigurd niespokojnie. — Na brodę Mitry, nie podoba mi się to, Amra, ani trochę!

— Yakov! — zawołał Conan. — Niech twoi chłopcy strzelają w otwory wiosłowe!

Cięciwy warknęły i zaświstały strzały. Wiele z nich uderzyło w burty wzdłuż szczelin wiosłowych, ale dużo więcej, ze względu na krótki dystans, znikło we wnętrzu galery. Nie rozległ się jednak ani jeden wrzask bólu albo trzask wiosel uderzających bezwładnie o siebie. To

niemożliwe, aby żaden wioslarz nie został trafiony! Galera zawróciła i zaczęła uciekać z wiatrem.

„Czerwony Lew” pośpieszył za przeciwnikiem.

— Yakov! Ogniste strzały! — krzyknął Conan. — Na Croma, dobiore się tym bękartom do skóry!

Po chwili szalonej bieganiny na pokładzie dziobowym, przyniesiono pochodnie i zanurzone w oliwie szmaty owinięto dookoła grotów strzał. Zaraz też deszcz płonących pocisków, ciągnących

za sobą ogony czarnego dymu, spadł na burty i pusty pokład galery. Niebawem czerwone płomienie wypełzły z tuzina punktów na całym statku.

— Ha! — zagrzmiął Conan. — O to chodziło! Spójrz, Sigurdzie!

Na zielonej galerze, na jej rufowym pokładzie, pojawiła się wysoka, chuda postać. Nie wyglądała na zwykłego żeglarza. Miała na sobie płaszcz z wspaniałych zielonych piór, narzucony na wąskie ramiona. Ponure rysy żółtawej twarzy były tak nieruchome, jakby odlano ją

ze spiżu. Kapłan, albo czarownik, stojąc bez ruchu, obserwował „Czerwonego Lwa” jadowitym

spojrzeniem mrocznych oczu.

Gdy Conan i jego ludzie przyglądali się nieznajomemu, ten wyciągnął kościste ramię w niezwykłym geście i w tym momencie zgasł ogień na pokładzie. Wstęgi dymu przeredziły się i

znikły.

— Czary! — zahuczał Sigurd gniewnie, chwytając kurczowo ramię Conana.

— Yakov! — zawołał Conan. — Strzelaj w tego psa! Zanim jednak rozkaz został wykonany, postać w płaszczu z piór wyszarpnęła spod szaty jakiś mały przedmiot i rzuciła go w rozkołysane

zielone fale pomiędzy statkami.

Morze poderwało się w górę w potężnej eksplozji oślepiających płomieni. Ściana szkarłatnego

ognia zapłonęła pomiędzy okrętami. Ludzie Conana podnieśli krzyk. Zabobonny strach pojawił

się na ich obliczach. Byli dość dzielni, by stanąć twarzą w twarz z ostrą stalą i świszczącymi strzałami, lecz któż może pokonać magię?

— Czary! — powtórzył Sigurd. — Na serce Ahrimana i biodra Tammuz, widzisz to, Amra?

Ten skośnooki czarownik postawił mur ognia szybciej niż człowiek zdążyłby splunąć!

Spoglądając spod przymrużonych powiek, Conan zauważył, że nadnaturalne płomienie nie rozszerzają się, lecz pozostają w jednym miejscu, tworząc kurtynę ognia prawie całkiem zasłaniającą obcą galerię i wznoszącą się na wysokość masztów „Czerwonego Lwa”.

Płomienie

wydawały się lizać żagle.

— Osiem rumbów na lewą burtę! — ryknął Conan. — Zobaczymy, czy zdołamy ominąć ten ogień — rzekł do Sigurda.

— Na brzuch Shaitana i brodę Ymira, on nas ściga! — zawołał Sigurd chwytając się kurczowo nadburcia, aż zbieleły mu knykcie.

I tak też było. Gdy „Czerwony Lew” skręcił przez lewą burtę, mur ognia powtórzył ten manewr. Conan przysłonił oczy i spojrzał w górę na żagle. Wyglądały, jakby jeszcze nie dotknął

ich ognień, nie były nawet ani trochę okopcone. Conan wybuchnął śmiechem.

— Hej, sterniku! — zawołał. — Rumpel na prawą burtę i nie zwracaj uwagi na ogień! Żagle na pełny wiatr!

— Amra! — odezwał się Sigurd wytrzeszczając oczy. — Co się dzieje do wszystkich diabłów...

Conan uśmiechnął się szeroko.

— Patrz, stary morsie, i ucz się.

„Czerwony Lew” rozciął mur płomieni tak, jakby go w ogóle nie było. Załoga statku nie poczuła żaru ani gorąca. Gdy tylko znaleźli się po drugiej stronie, magiczna bariera zamigotała i

znikła. Cała zgraja korsarzy przyglądała się temu z rozdziawionymi gębami.

— Niezwykły miraż, iluzja! — zawołał Conan. — Zebrać się i przygotować do abordażu, psy!

Zobaczmy, czy ten opierzony czarodziej lubi zimną stal!

Gdy „Czerwony Lew” podpływał bliżej galery, załoga karaki ujrzała srogie, podobne do maski oblicze maga, jego ogoloną czaszkę i pałające wściekłością oczy. Wtem czarownik podniósł obydwie ręce, a jego wspaniały płaszcz rozpostarł się na wietrze, niczym skrzydła legendarnego feniksa.

— Hai, Xotli! Chahuatepak ya xingoth! — wykrzyknął.

Czerwone Cienie uderzyły. Przywarły do argosańskiego sternika i ten zniknął z przeraźliwym krzykiem. „Czerwony Lew” przechylił się na prawą burtę, schodząc z kursu.

To już nie było złudzenie. Odziany w pióra czarownik roześmiał się szkaradnym, skrzypiącym

głosem i podniósł ręce, by znów przywołać Strach.

Tym razem oczy maga zwróciły się na Conana.



Ogniem otoczona i z diabelską załogą  
wprost z głębin piekielnych, przeklęta przybyła.  
Lew złamał jej czary i sięgnął po skarb  
z czerwonych otchłani wieziony.

„Podróże Amry”

7

## WIDMOWI WOJOWNICY

Stary Sigurd zobaczył to spojrzenie i zrozumiawszy jego sens ryknął do Yakova na przednim pokładzie:

— Przedziurawcie tego diabła w piórach!

Strzały pomknęły ze świstem. Mag przerwał w połowie czar przywołujący Strach i zaczął wypowiadać z pośpiechem jakieś inne zaklęcie. Pierwszy pocisk skręcił nagle i nieszkodliwie uderzył o pokład. Druga i trzecia strzała również chybiły, ale następne dosięgły czarownika.

Było

ich zbyt wiele, by ten mógł odparować je wszystkie mocą swych zaklęć. Jeden z pocisków przebił mu prawą rękę.

Ciemne oblicze czarownika zszarzało. Odruchowo przycisnął zranioną rękę do kościstej piersi, po czym zniknął.

Sigurd chrząknął i otarł swój gruby nos.

— Cóż możemy zrobić przeciw tym przeklętym, piekielnym mocom, Amra? Zawróćmy raczej, zanim Cienie dopadną nas wszystkich.

Conan spojrział na niego przenikliwie.

— Czyżbyś stracił rozum? — warknął wściekle. — Ten piekielny okręt jest tym, czego szukamy! To tutaj powstają Czerwone Cienie!

— Ale stal nie obroni nas przed nimi...

— Sam widziałeś, jak chłopcy Yakova dostali tego diabła, czyż nie? — syknął Conan targając Sigurda za ramię. — Nie przywoła swych diabłów tak okaleczoną ręką, nadszedł więc czas ataku! — Uniósł głowę. — Sternicy, jeden rumb na lewą burtę! Przygotować haki abordażowe!

Ustawić się do ataku!

Dziób „Czerwonego Lwa” prześlizgnął się obok rufy galery i przesunął wzdłuż jej burty z trzaskiem i gruchotem łamanych wiosł. Haki wbiły się w pomalowane na zielono drewno.

Dziesiątki rąk napięło liny i przyciągnęło do siebie obydwie statki.

— Abordażownicy, naprzód! — rozkazał Conan, zeskakując na pokład, by przyłączyć się do piratów stłoczonych przy burcie. Stali z nożami w zębach oraz kordami, mieczami i toporami w

dłoniach. Wszyscy mieli na sobie najrozmaitsze pancerze, kolczugi i karaceny. Hełmy o różnych

kształtach okrywały ich rozczochrane głowy.

Conan pierwszy skoczył na wrogi statek i wylądował pomiędzy nadburciem a pokładem, tam gdzie powinni siedzieć wiosłarze. Nie było tu jednak nikogo. Wiosła same z siebie miarowo poruszały się w dulkach.

Włosy podniosły się na głowie zabobonnego barbarzyńcy. Conan wbiegł pośpiesznie na główny pokład, niespokojnie rozglądając się za wrogiem. Nagle czarny olbrzym, Yasunga, chwycił go za ramię i wskazał na tylny pokład galery. — Spójrz, Amra! Pierzasty diabeł!

Chudy

czarodziej powrócił, lecz zamiast wspaniałego płaszcza z piór przywdział teraz długą kolczugę z

kóleczek, wykonanych z jakiegoś dziwnego, różowo świecącego w słońcu metalu.

Fantastyczny

hełm, o kształcie głowy ptaka, chronił nagą czaszkę maga. W lewej ręce trzymał on długi i prosty

spizowy miecz z zębami jak u piły, a w prawej miał tarczę z zielono emaliowanego metalu, ozdobioną wizerunkiem krakena.

Conan ruszył, by stawić czoło czarownikowi, gdy ten wypowiedział zaklęcie w tym samym języku, w którym wcześniej wzywał Czerwone Cienie. Jęk grozy wyrwał się z piersi piratów. Tam, gdzie stał jeden uzbrojony człowiek, teraz stało ich tuzin, a wszyscy wyglądali tak samo.

— Do ataku! — ryknął Conan, skacząc na schodki wiodące na tylny pokład. Ostrze Cymmerianina ze szczękiem zderzyło się z mieczem magicznego wojownika. Conan uspokoił się

całkowicie, znajdując w swych wrogach ciało i krew zwykłych ludzi. Jego przeciwnicy byli wysocy, chudzi i niezbyt silni, ale walczyli dobrze. Z furią rozjuszonego wilka Cymmerianin wpadł pomiędzy nich, roztrącając ich szyk. Rycząca horda piratów runęła za nim siekąc i kłując.

Jazgot dźwięczącej stali buchnął niczym z piekielnej kuźni. Wykrzykując cymmeriańskie przekleństwa, Conan rąbał z furią orłonosych mężczyzn, którzy znaleźli się na jego drodze.

Jeden

cięty na odlew, runął na plecy z rozchlastaną do połowy twarzą. Inny padł na kolana, przytrzymując kurczowo wypływające jelita. Trzeci cofnął się poruszając niemrawo kikutem ramienia. Czwarty zwał się z czaszką rozłupaną aż do szczęki. Wciąż jednak nadchodzili następni. Conan zabił już dziewięciu wrogów, ale pozostali otoczyli go zwartym kręgiem.

Miecz

Cymmerianina ubroczył się we krwi aż po rękaje. Kolczuga zwisiała porwana w tuzinie miejsc,

w których dosięgły jej zębate ostrza. Potężne ramiona krwawiły z kilkunastu powierzchownych

zranień. Dzierżąc miecz w obydwu dłoniach, Conan uderzył w otaczający go pierścień wrogów,

warcząc jak schwyty w pułapkę wilk. Dziesiąty wojownik runął przebity na wylot.

Cymmerianin odbił kilka zagrażających mu ostrzy lekkim ruchem nadgarstka. Serce waliło mu

jak wojenny bęben Piktów. Krew huczała mu w uszach, a jego zabójcza stal migotała jak wściekła błyskawica. W końcu jednak Conan zaczął odczuwać ciężar swych sześćdziesięciu z górą lat. Oddech palił mu płuca, oczy zaś zasnuła szkarłatna mgła. Jedną połową duszy Cymmerianin przeklinał brak swej żelaznej wytrzymałości z dawnych lat, ale drugą dziękował

bogom za to, iż będzie mógł zginąć, tak jak tego pragnął, stając twarzą w twarz z wrogiem i mieczem w dłoni. Przebiwszy się wreszcie przez pierścień wrogów, Cymmerianin natknął się na

pojedynczego wojownika, stojącego na końcu pokładu, na tle nieba. Conan natychmiast wzniosł

miecz. Długie ostrze zachręściło na ogniach kolczugi z różowego metalu, a rozerwawszy ją,

dotarło do serca wroga. I to był koniec...

Sapiąc i stojąc na niepewnych nogach, Cymmerianin odwrócił się do reszty przeciwników. Za nim był jednak pusty pokład, na którym pozostali jedynie jego własni ludzie. Widmowa armia zniknęła. Zniknęły nawet ciała zabitych. Conan podszedł do nadburcia, gdzie leżał tylko jeden

martwy mężczyzna, ten, który zginął ostatni. Cymmerianin tknięty nagłą myślą zerwał z zabitego

tarczę. Prawa ręka trupa była owinięta bandażem.

Conan wziął głęboki oddech i jego grzmiący śmiech uspokoił wystraszonych piratów.

— To były odbicia tego psa — odezwał się trącając zwłoki czubkiem miecza. — Tylko on był prawdziwy, a tamci istnieli tylko dopóty, dopóki on żył. Kiedy zginął, zmienili się w mgłę! Zabierzcie naszych rannych na „Czerwonego Lwa”. Goram Singh, weź ludzi i przeszukajcie ten

statek. Pośpieszcie się! Jeśli jest tu jakiś skarb, lepiej zatroszczyć się o niego szybko. Sigurd, Yasunga, za mną! Conan zszedł na główny pokład i pchnął drzwi do jednej z rufowych kabin. Po

bitewnej furii czuł w kościach ogromne zmęczenie. Wolał, aby jego ludzie tego nie zauważyli.

Sześćdziesiąt kilka lat ciążyło mu niczym ołów i tylko orzeźwiający łyk mocnego wina mógł wlać weń nowe siły. Wewnątrz mrocznej kabiny czuło się jakąś mistyczną posepność. Ściany obwieszane były sinymi gobelinami, na których krzywiły się straszne twarze demonów. Na niskim taborecie o kształcie ośmiornicy stała kryształowa karafka wypełniona ciemnym płynem.

Conan podszedł i jednym haustem wypił jej zawartość.

Płyn smakował jak wino, ale był mocniejszy niż wszystkie trunki, jakich dotąd próbował. Cymmerianin poczuł miłe gorąco rozpluwające się po całym ciele. Nowe siły zaczęły wypełniać

obolałe mięśnie. I wtedy Conan zobaczył coś, co sprawiło, że krew zamarła mu w żyłach.

Trzy

kroki dalej, blisko jedwabnej kotary stał człowiek, którego niedawno zabił! Zbroja z różowego

metal była rozerwana na sercu, tam gdzie trafił rozstrzygający cios, a z rany wciąż wypływała

krew. Nie zważając na zmarłego ze zdumienia Cymmerianina, widmowa postać odsunęła na bok tkaninę, odsłaniając niszę, w której stała srebrna kasetka. Zjawa wzięła ową szkatułkę, po czym ruszyła do okna umieszczonego po drugiej stronie kabiny. Okno otworzyło się ukazując błękitne morze i część kadłuba „Czerwonego Lwa”. Fantom był już o krok od skoku w rozkołysane fale, gdy Conan runął przez kabinę, chwytając mglistą postać. — Co robisz, Amra?!

— zawołał Sigurd. On i Kuszyta stali ciągle u wejścia do kabiny.

Skrwawione ramiona Conana otoczyły talię czarownika, ale przeszły przez chude ciało, jak przez mgłę. Jedna dłoń Cymmerianina zacisnęła się na szkatułce. Ta była czymś trwałym i Conan

bez trudu wyciągnął ją ze słabego uchwytu widma. Posłał przeciwnikowi straszne spojrzenie, pełne obłędnej nienawiści. Zaraz potem zniknął wśród fal.

Conan odwrócił się trzymając puzderko. Sigurd i Yasunga zasypali go pytaniami. Dla nich widmo czarownika nie było widzialne. Zobaczyli szkatułkę ulatującą z niszy i pędzącą do okna,

najwyraźniej bez żadnej pomocy. Widzieli też skok Cymmerianina i pochwycenie jej.

Zanim mógł zaspokoić ich ciekawość, na zewnątrz kabiny rozległy się kroki i głos Gorama Singha:

— Kapitanie! Przedni pokład i ładownie są puste. Ani śladu skarbów. Galera tonie. W kadłubie jest mnóstwo szczelin. Musimy zaraz wracać na „Czerwonego Lwa”.

Conan spojrział na srebrną kasetkę. Był to ich jedyny łup. Właśnie tę rzecz wiózł magiczny statek, a tajemniczy czarownik walczył i zginął usiłując ustrzec ją przed piratami...

Gdzie słońca tonąc umierają  
w krwawej posoce posepnego niebu,  
z sag pradawnych wracają wyspy zaginione,  
a zimne morza chłoszczą ciemne brzegi.  
„Proroctwo Epemitreusa”

8

## SZKATUŁKA Z ATLANTYDY

Ze szkatułką pod pachą Conan przeskoczył na „Czerwonego Lwa”. Za Cymmerianinem podążyli Sigurd, Yasunga i muskularny Venedhianin, Goram Singh. Za moment wyciągnięto haki, zwinięto liny i oba statki rozłączyły się. Wkrótce rozdzielił je pas wody szeroki na rzut oszczepem. Galera zanurzała się spokojnie, aż do chwili, w której spienione fale zaczęły bez przeszkód przepływać nad jej pokładem. Tylko maszty oraz przedni i tylny pokład pozostały ponad powierzchnią morza. Nie mając ciężkiego ładunku, który mógłby ją pociągnąć w dół, wpółzatopiona galera mogła pływać w ten sposób całymi miesiącami.

— Naprzód, na ocean! — zawołał Conan. — Żagle na pełny wiatr! Dwa rumby na lewą burtę!

Chwyciwszy wiatr karaka ruszyła, jak pełen temperamentu rumak. Wrak galery pozostał daleko za nimi.

Stojący u boku Conana Sigurd ponuro spoglądał na znikające za horyzontem maszty galery. Krzepki Vanir był blady i przygaszony. Tak samo czuli się wszyscy piraci. W powietrzu wisiał

jakiś chłód, podobny do lodowatego powiewu nadpływającego z otwartego grobu. Yasunga mruczał modlitwy w swym ojczystym języku. Sigurd ukradkiem nakreślił na sercu znak młota Thora.

Wreszcie maszty galery zniknęły im z oczu. Nad ich głowami niebo było wciąż błękitne i czyste, ale na zachodzie zapalały się pierwsze czerwone błyski gasnącego słońca. Na wschodzie

pojawiła się cienka smuga atramentowoczarnej mgły. Conan drgnął i poklepał Sigurda po ramieniu, wyrывая go z zadumy.

— Chodźmy do kabiny, Czerwonobrody — powiedział Cymmerianin. — Musimy wypić za zwycięstwo. I mamy przecież łup do obejrzenia. Yasunga, przejmij dowodzenie! W kabynie płonął ogień w żelaznym piecyku i parowała gorąca woda. Conan zmył z siebie zaschłą krew i

bitewny pot, nie zważając na piekący ból drobnych ran. Wytał się gorącym ręcznikiem, wdział

wębianą tunikę, z wielką ulgą zszuł buty i usiadł przy stole naprzeciw Sigurda. Vanir pchnął ku

niemu dzban wina. Wypili z ochotą i niebawem poczuli, jak wraca im dobry humor.

— Nalej następny kubek — Conan zwrócił się do Sigurda. — Ten napad rozgrzał krew w ludziach, ale szkoda, że nie wzięliśmy większego łupu, oprócz tej przeklętej skrzynki!

Położył pudełko na stole i w zamyśleniu przesuwiał palcem po jego powierzchni. Szkatułka była podobna do cegły. Wykuta w srebrze... ale czy to rzeczywiście było srebro? W blasku oliwnych lamp metal połyskiwał różowym odcieniem, a w dotyku nie czuło się delikatnej gładkości srebra.

Sigurd, również zaintrygowany, przebiegł owłosionymi palcami po wypukłych liniach tajemniczych piktogramów wyrytych na szkatułce. Wreszcie otworzył usta, by coś powiedzieć,

gdy Conan odezwał się pierwszy:

— Orichalk!

Legendarny, magiczny metal z zaginionej Atlantydy był, jak mówiono, podobny do srebra ze względu na trwałość i wagę, ale miał barwę miedzi. Było więc pewne, że szkatułka pochodzi z

zatonionego kontynentu. Conan zawsze chętnie słuchał opowieści o dawnych królach Atlantydy,

potężnym Kullu z Valusji, władcy Topazowego Tronu, o strasznym Kaa-Yazoth i jego żelaznych

legionach oraz o Białym Imperatorze, przepędzonym z Miasta o Złotych Bramach przez Czarnych Magów, którzy umieścili na jego tronie czarodzieja, Thevatatha. Te i podobne sagi śpiewano przy ogniskach w jego rodzinnych stronach, skracając długie noce cymmeryjskich zim.

Opowieści owe posiały w duszy Conana ziarna tęsknoty za podróżami i przygodami i popchnęły

go na drogę wiodącą przez pół świata. Cymmerianin uśmiechnął się lekko, wspominając minione

dni. Sigurd podniósł szkatułkę i potrząsnął nią niecierpliwie.

— Jak myślisz, co w niej jest?

— Coś cennego, na Croma! — zaśmiał się Conan. — Trzeba to otworzyć!

W skrzynce była dziurka na klucz, ale ten bez wątpienia leżał gdzieś na dnie morza.

Pokrywka

miała solidnie wyglądające zawiasy. Conan poszperał chwilę po kajucie, po czym postawił szkatułkę na sztorc i do zatyczki zawiasów przyłożył koniec wielkiej, brązowej igły. Uderzył w

nią lekko ręką swego sztyletu i uśmiechnął się do Sigurda. — Nauczyłem się tej sztuki, kiedy byłem złodziejem w Zamorze... Na Croma! Już ponad czterdzieści lat minęło od czasu, gdy ostatni raz robiłem coś podobnego.

Wkrótce obydwie zatyczki zawiasów zostały wybite i pudełko otwarto. We wnętrzu leżały mały zwój pergaminu, przewiązany szkarłatną wstążką.

— Skarb?! — jęknął Sigurd. — Na rogi Shaitana i brzuch Molocha! Czy kiedykolwiek aż tak bardzo nabrano dwóch takich porządnych łotrów, jak my? Pokład nędznej galery zalany krwią w

walce z hordą demonów o co? O przeklęty kawałek pergaminu!

Splunął gwałtownie, ale Conan badając rulonik mruknął:

— Nie warto narzekać, Czerwonobrody, gdy jest już za późno. To coś więcej niż tylko skrawek papieru. Niech mnie Crom przeklnie, jeśli się mylę. Spójrz tutaj!

Sigurd pochylił się przyglądając zwojowi, który Conan rozłożył na stole. Był to sztywny, trzeszczący pergamin, być może zrobiony z błony ze skrzydeł latających smoków, które, jak mówiły legendy, hodowano na Atlantydzie. Już na pierwszy rzut oka można było się zorientować, że jest to dokładna mapa Oceanu Zachodniego.

— Ta linia na wschodzie to zarys wybrzeża naszego kontynentu — powiedział Conan. — Widzisz? Tutaj powinna być Messancja, a to jest wybrzuszenie, które zakrzywia się wzdłuż wybrzeży Zingary na wschód, do Shem.

— Tak, a te nieregularne punkty to wyspy Baracha, Lira i Mannana — mruknął Sigurd marszcząc brwi. — Ale na bogów, spójrz, co jest na zachodzie!

Wskazującym palcem przesunął przez mapę, pokazując linię wybrzeży przeciwległą do tej, którą znali.

— Ciekawe... — zgodził się Conan przyglądając się wybrzeżom nieznanego kontynentu, ciągnącym się wzdłuż zachodniego krańca mapy oraz łańcuchowi siedmiu dużych wysp leżących

na południowy wschód od tego lądu.

Mapę narysowano z drobiazgową dokładnością. Ukazywała ona wybrzeża, porty, rafy, mielizny, a także kierunki wiatru i prądy, dowodząc, że kartograf był dobrze obeznany z ziemiami i morzami tego regionu. Conan uderzył pięścią w stół.

— Na Croma! — wybuchnął. — Pojąłeś w czym sekret, Czerwonobrody?

Sigurd wzruszył ramionami, a Conan postukując sękatym palcem w pergamin rzekł:

— Zielony statek przypłynął z wysp, o tych tutaj! Był w drodze do naszych wybrzeży. Crom tylko wie dlaczego, chyba że po to, by wypuścić Czerwone Cienie na nasze miasta. A co na tym

statku było tak cenne, że uciekał przed nami jak przez zarazę? Mapa wskazująca drogę do domu!

Sigurd zamrugnął oczami zaskoczony.

— Myślę, iż trafiłeś w sedno, Amra. Cóż to zatem za przeklęte wyspy?

— Antillie!

Sigurd mruknął coś, potarł włochatą łapą podbródek i powiedział:

— Tak, możesz usmażyć moje brzuszysko, ale słyszałem już opowieści o nich, lecz nigdy w nie nie wierzyłem. Czy masz na myśli historyjki mówiące, że kiedy Atlantyda zatonięła, zgraja kapłanów uciekła na nieznaną wyspę na zachodzie i zbudowała tam kolejne Złote Imperium!?

Słyszałem bajdy o murach siedmiu miast Antillów zbudowanych ze złotych cegieł i o ulicach wybrukowanych srebrem. Słyszałem o świątyniach i piramidach z chryzoprazu i o klejnotach dość wielkich, by zadławił się nimi wieloryb, a leżących na plaży tak, iż wystarczy je tylko podnieść... Bogowie i demony, przypuszczasz, że jest w tym jakaś prawda?

Conan wzruszył ramionami.

— Crom wie! Słyszałem podobne opowieści o Venedhii i Khitaju, ale kiedy dotarłem do tych miejsc, stwierdziłem, że opisy były mocno przesadzone. Jedynym sposobem sprawdzenia tego

jest pożeglować tam. Ta mapa wskaże nam drogę!

Pod pełnymi żaglami, mocno wydętymi,  
dziób statku się wznosi wysoko.

Przez morze tej nocy płyniemy po złoto  
i świecą nam gwiazdy na niebie.

„Szanta z Wysp Baracha”

9

## PODRÓŻ NA MORZE NIEZNANE

I stało się, że „Czerwony Lew” wyruszył na rozkołysane sztormami i nawiedzane potworami pustkowie Oceanu Zachodniego, na najdziwniejsze z poszukiwań. Jedynym drogowskazem było

w dzień słońce, nocą zaś gwiazdy, gdyż kompas nie był znany żeglarzom wieku hyboreańskiego.

Mapa wydobyta ze szkatułki z orichalku prowadziła ich coraz głębiej i głębiej w nieznane.

Kilku piratów sprzeciwiło się tak fantastycznemu przedsięwzięciu. Tym jednak Conan wskazał dwa ważne powody, dla których powinni zmienić zdanie. Pierwszy z nich był taki, że wyruszyli na tę wyprawę dla przygody, chwały i łupu, a bez wątpienia znajdą to wszystko w mnogości na Antilliach. Po drugie, zapowiedział, że osobiście wyrzuci każdego malkontenta za

burzę, na pożarcie krakenom. Te powody okazały się wystarczające.

Ciągle więc oddalali się od wybrzeży, które znali i coraz bardziej wzrastał w piratach lęk i obawy. Wspominali stare opowieści, mówiące że daleko na Zachodzie świat kończy się

potężnym urwiskiem, w które oceany wlewają się gigantycznym wodospadem i z grzmiotem spadają na fundamenty Wieczności. Według tych legend każdy statek, który popłynie za widzialne krańce horyzontu, zostaje pochwycony przez potężny prąd, który poniesie go wraz z

bezradną i zrozpaczoną załogą prosto za krawędź świata.

Conan uciszył te pogłoski, rozbijając kilka głów i pokazując pozostałym, że z każdą milą żeglugi na zachód horyzont ciągle odsuwa się na poprzedni dystans.

Płynęli pod żaglami wydętymi stałym powiewem północno-wschodnich pasatów. Przed nimi leżał nieznan świat. Wszystko dookoła było zaś ponurym pustkowiem poszarpanych wiatrem

fal, pod którymi mógł czaić się straszny mieszkaniec głębin. Conan nie obawiał się morskich potworów. Stawał już twarzą w twarz z wojownikami, czarodziejami, potworami, demonami, a

nawet bogami. Wszyscy oni, jak się ostatecznie okazywało, mogli skończyć od ciosu ostrej stali. Jednak na wszelki wypadek polecił cieśli okrętowemu zbudować katapultę i zrobić ze smoły wydrążone kule, które wypełniono oliwą i zatkał knotami ze starych szmat.

Dzień następował po dniu. Podróż przez nie kończące się wodne pustkowia tak znudziła Conana, że zaczął tęsknić za walką, która przerwałaby ową nieznośną monotonię. Niestety, jeśli

nawet w okolicy były jakieś morskie potwory, to omijały „Czerwonego Lwa” z daleka. Aby utrzymać porządek na statku pełnym krwiożerczych piratów, równie jak ich dowódca znużonych

bezczynością, Cymmerianin zajmował ich szorowaniem pokładu i wyrabianiem strzał do łuków,

w celu uzupełnienia zużytych w walce z zieloną galera.

Od czasu do czasu starego Cymmerianina nachodziło pragnienie, aby dowiedzieć się, co dzieje się w odległej Aquilonii. Myślał o swym synu, zastanawiając się czy ten młody kozioł polubił ciężar korony na łbie.

Myślał też o pałacu, gdzie spędził tak wiele szczęśliwych lat ze swą żoną Zenobią. Ona była kiedyś niewolnicą w Nemedii, ale on uczynił ją jedyną królową Aquilonii. Kiedy żyła, był — pomijając kilka potknięć w czasie dalekich podróży — jej wiernym, a niemały to wyczyn dla gorącokrwistego wojownika z Cymmerii.

Gdy umarła przy porodzie, powrócił do poprzedniego zwyczaju i założył harem pełen zgrabnych konkubin, których zdobywanie nie nastęczało żadnych trudności. Zawsze było dość

dużo chętnych i powolnych dziewcząt. Nie poślubił jednak żadnej z nich. Żadna kobieta nie zajęła miejsca Zenobii.

Teraz kiedy jej już nie było, stwierdzał, że często myśli o niej w nastroju ponurego przygnębienia, które bardzo go odmieniało. W czasie gdy żyła, przyjmował jej oddanie jako coś

zwykłego i mało o tym myślał. Był szorstkim barbarzyńcą. Dziś ubolewał nad słowami, których

jej nie powiedział, i względami, jakich nie okazał.

Myślał o dawnych czasach i starych przyjaciół. Twarze z przeszłości tłoczyły się w jego pamięci: Belit-Tygrysica, rozmarzona królowa piratów z Czarnej Wybrzeża, jego pierwsza wielka miłość... Taurus z Nemedii — gruby, stary złodziej, z którym splądrował tajemniczą Wieżę Słonia. Zagadkowy Toth-Amon, czarownik stygijski, którego szlaki tak często krzyżowały się z jego, aż do ostatniego, decydującego starcia. Wspominał też lojalnego, zawsze

uśmiechniętego Jubę, czarnego olbrzyma z Kush, z którym pokonał na Dalekim Wschodzie ludzi

z zaginionej doliny Meru, a także hrabiego Trocero z Poitain, przebiegłego kanclerza Publiusza,

dzielnych żołnierzy Prospera i Pallantidesa — przyjaciół, którzy przyszedli mu z pomocą, kiedy zazdrosny król Numedides skazał go na wygnanie, a którzy zebrali się przy nim, kiedy rozpoczął

rewoltę przeciw zdeprawowanemu monarsze...

Wizerunki przyjaciół, kochanek, kompanów i wrogów, których w tym życiu już nigdy miał nie zobaczyć, przesuwały się w umyśle Conana. Pamięć powracała niosąc gorzkie straty.

Teraz

śmiało i krwawe wydarzenia zuchwałej młodości były już poza nim. Długa noc zbliżała się szybko. Jednak ostatni zachód słońca Conan chciał ujrzeć na polu pełnym zakrwawionych trupów. Tak powinna wyglądać ostatnia godzina jego życia.

— Ahoj, ziemia!

Zatopiony w głębokiej melancholii Conan ocknął się. Krzyk z okna przywołał go do rzeczywistości, budząc krew w żyłach.

— Gdzie?! — zawołał.

— Trzy rumby od dziobu po prawej burcie, kapitanie! — odpowiedział obserwator ze szczytu przedniego masztu.

Conan wspiął się na wanty i spojrzał na horyzont przed „Czerwonym Lwem”. Na zachodzie wciąż było ciemno, ale we wskazanym miejscu znajdował się pasek znacznie głębszej czerni. Ziemia. Piraci stłoczyli się na forkasztelu, dyskutując i pokazując sobie nawzajem odległy ląd.

Conan powrócił na tylny pokład, zastając tam Sigurda.

— Cóż to jest, przyjacielu? — spytał Vanir. — Czyżby w końcu Antillie? Na słoneczny dysk Shamasa i srebrny sierp Demetri! Nareszcie będzie coś do roboty! Złoto dla wszystkich, a na przyprawę gorąca krew!

Conan uśmiechnął się szeroko.

— Aye. Dwa miesiące na pokładzie okrętu, gdy dookoła tylko morze i niebo, to jakby dwa wieki. Ale przeprawa już za nami!

Wtem nadleciał od obserwatora dziki okrzyk:

— Smok z lewej burty! Zbliży się do nas!

Smok! Conan uczuł zimno przebiegające po plecach. Odwrócił głowę.

Potwór nadpływał z rozpostartymi skrzydłami, nad którymi wznosiła się hakowato wygięta szyja. Potężna pierś rozcinała spokojne, oleiste fale. Oczy smoka płonęły białym ogniem, a czarny dym buchał z jaskrawoczerwonych nozdrzy.

Zanurzone w czerwieni i w ponurej mgle,  
kiedy słońce zachodzi w przepychu purpury,  
zapomniane Imperium wciąż jeszcze trwa,  
niczym fantom minionych dni.

„Prooctwo Epemitreusa”

10

SMOCZY OGIEŃ

— Wszyscy z bronią na pokład! — ryknął Conan wyrywając załogę z odrętwienia. —

Łucznicy na forkasztel! Yakov, daj znać, kiedy będzie w zasięgu! Singh do katapulty!

Sternicy,

dwa rumby na lewą burtę! Sigurd, dopilnuj zagli! Obtańczymy go dookoła, jak pijanego



kothiańskiego chłopka! Marco, przynieś mój hełm i pancerz.

Ludzie pognali, by wykonać rozkazy. Na dziobie krzepki bosman i jego oddział zakrzętnęli się

wokół maszyny miotającej. Inni wynosili z ładowni pociski ze smoły. „Czerwony Lew” przechylił się skręcając na lewą burtę i ustawił się na wprost potwora. Oczy smoka, świecące jak

meteory, zbliżały się coraz bardziej.

Gdy tylko stwór znalazł się w odległości strzału z łuku, drużyna Yakova wysłała chmurę strzał. Sporo z nich trafiło wbijając się pomiędzy łuski, inne odbiły się i powpadały do wody. Potwór nie zareagował. Tylne łapy sprawiały wrażenie nienaturalnie cienkich. Przednie trwały w

bezruchu. Łabędzi kark kołysał się na boki. Paszcza potwora połyskiwała ostrymi zębami.

Słońce, ukryte dotąd za chmurami, zabłysło nagle i rozświetliło wszystko pełnym blaskiem.

Conan krzyknął:

— Ludzie, to nie żaden potwór; to statek! Przygotować katapultę!

To była prawda. Smok był ozdobą dzioba galery podobnej do tej, którą napotkali wcześniej.

Skrzydła były w rzeczywistości trójkątnymi żaglami, wzmocnionymi bambusowymi listwami,

tak jak czyniono to w Khitaju.

Druga salwa strzał zagrzechotała o dziób statku-smoka. Conan zauważył, że „przednie nogi” były w istocie mechanicznymi szczypcami podtrzymywanymi przez system lin i bloczków.

Teraz

żelazne haki uniosły się w górę, by chwycić dziób „Czerwonego Lwa”. — Singh, strzelaj! — wrzasnął Conan. Z głuchym trzaskiem katapulta wyrzuciła pierwszą kulę. Ta przeleciała nad wodą, odrykoszetowała od karku potwora i wpadła do morza.

Galera była już tylko o rzut włóczni. Pierś smoka otworzyła się, a z jej wnętrza wysunął się pomost abordażowy. Natychmiast stłoczyła się na nim fantazyjnie ubrana i najeżona bronią grupa

szturmowa.

Zapadka katapulty zagrzechotała, kiedy obsługa rozpaczliwie obracała kołowrót, naciągając ramię. Potem trzask! Druga kula ciągnąca za sobą warkocz dymu poleciała prosto w tłum wojowników.

Buchnął ogień i trupio blade światło rozjaśniło wnętrze galery. Na pomoście abordażowym powstała panika. Kilku ludzi wypadło lub zostało zepchniętych do morza, gdzie pod ciężarem zbroi szybko utonęli.

Dym wydostawał się z wnętrza smoczego statku z kilkunastu miejsc naraz. Ogień rozprzestrzenił się nienaturalnie szybko. Conan usłyszał krzyki odciętych wojowników.

Wkrótce płomienie wysunęły się znad smoczego głowy, liznęły żagle i szybko pomknęły w górę...

— Amra! — ryknął Sigurd. — Następny statek od rufy!

Conan obrócił się z soczystym przekleństwem. Drugi smoczy okręt z rozwiniętymi żaglami zbliżał się od tyłu. Płynąc z wiatrem i na wiosłach, poruszał się dużo szybciej niż poprzedni.

— Singh! — krzyknął Conan. — Katapultę na rufę! Gdy obsada katapulty pchała maszynę po pokładzie, druga galera szybko zmniejszyła dystans. Conan kłął w żywy kamień. Razem z innymi zagapił się na płonący statek. Gdyby nie Sigurd, zostaliby zaskoczeni.

— Yakov! — zagrział Cymmerianin. — Wstrzymaj się ze strzelaniem, zanim nie otworzą wrót!

Jednak tym razem wrogi statek nie otworzył tak wcześnie bramy dla grupy abordażowej.

Zamiast tego wydał z siebie syk, jakby z tysiąca gotujących się kotłów. Z paszczy smoka wystrzelił język płynnego ognia. Pomiedzy statkami zapłonął ognisty łuk i uderzył w kadłub

„Czerwonego Lwa”. Bryzgi palnej cieczy rozprysły się po pokładzie, a piraci odskoczyli w panice od nadburcia. Wielu z nich poczęło gasić swoje ubrania. Ciecz paliła się wydzielając gęsty, czarny dym o zapachu oleju skalnego. Conan znał tę substancję. Wysączała się ona z

ziemi

na pustyniach Iranistanu i na południu Turanu.

Nie było jednak czasu tłumaczyć tego piratom. Rozległ się drugi syk i następny jezor płonącej cieczy trafił w przedni żagiel, który natychmiast zapłonął jak pochodnia. Załoga katapulty i łucznicy rozproszyli się z wrzaskiem, gdyż pożar wybuchł tuż nad ich głowami.

— Ostro na prawą burtę! — ryknął Conan. — Żagle na pełny wiatr od trawersu sterburty!

Trzecia ognista struga zniszczyła środkowy żagiel, czyniąc z „Czerwonego Lwa” bezwładny wrak. Ocalał tylko jeden mały, trójkątny żagielek dziobowy. Piracki okręt zwolnił i zakołysał się

na martwej fali. Żelazne szpony galery opadły z trzaskiem, wbijając się w pokład karaki.

Brama

abordażowa rozwarła się, pomost wysunął i gromada wojowników runęła na pokład

„Czerwonego Lwa”.

Ludzie ci mieli brunatną skórę, wąskie oczy, wystające kości policzkowe i orle nosy. Nosili hełmy w kształcie ptasich głów, takie same jak czarownik z zielonej galery, i dziwaczne szkliste

pancerze. Ich bronią były miecze o zębatych ostrzach, włócznie i proce na szklane kule.

Posiadali

też inną broń, której Conan w pierwszej chwili nie rozpoznał.

Łucznicy Yakova mieli zatrzymać grupę abordażową morderczym gradem strzał, ale ulegli panice tak jak cała reszta załogi. Conan wrzeszczał i wygrażał im z tylnego pokładu, ale piraci biegali bezmyślnie po śródkręciu. Kilka strzał, które wystrzelono w kierunku przeciwników, połamało się lub odbiło od ich pancerzy. Tylko paru piratów przygotowało się do odparcia ataku.

Conan zbiegł z rufowego pokładu z wielkim mieczem w ręku i dołączył do obrońców. Teraz spostrzegł, że napastnicy mieli na sobie dziwaczny ekwipunek. Od ich hełmów odchodziły rury

biegnące do zbiornika na plecach. Musiał to być jakiś rodzaj aparatu do oddychania. Ale po co?

Odpowiedź przyszła natychmiast. Najbliżsi z atakujących zatrzymali się, zakręcili procami i obrzucili piratów szklanymi kulami wielkości jabłek. Kule pękały z dźwięcznym trzaskiem, rozpadając się na tysiące lśniących odłamków. Z każdej rozbitej kuli wydobywały się obłoki bladej mgły. Nadlatywało ich coraz więcej. Mimo wiatru opary wciąż gęstniały. Conan zobaczył

swych ludzi krztuszących się i osuwających bez przytomności na pokład. Padali jeden na drugiego. Tylko kilku zdołało utrzymać się na nogach. Pokład wyglądał jak pobojuwisko, z tą różnicą, że powaleni ludzie najwyraźniej spali.

Oddział abordażowy ruszył przez pomost na „Czerwonego Lwa”. Conan wpadł między nich ze wściekłym rykiem, a jego szeroki miecz zamigotał jak stalowe skrzydło wiatraka.

Kryształowe

zbroje rozpryskiwały się od ciosów ciężkiego ostrza. Jękliwe krzyki bólu rozlegały się we wnętrzach hełmów.

Conan przerabiał się przez pierwszy szereg atakujących, pozostawiając poza sobą trzech poległych wrogów. Ale następni natychmiast zajęli ich miejsce, starając się go okrążyć.

Conan

przebił się przez ich szyk i dotarł do nadburcia, gdzie mając osłonięte plecy zyskał chwilę wytchnienia.

Kilkanaście kroków dalej zobaczył Sigurda, walczącego z dwoma przeciwnikami. U stóp starego pirata leżało już dwu innych. Zaraz potem, chociaż nie zadano mu ciosu, stary Vanir wypuścił szablę z ręki i padł na pokład, tak jak reszta załogi.

Conan poczuł słodki zapach i świat zatańczył mu przed oczami. Atakujący uformowali wokół niego półkole, otaczając go przy relingu. Przez trzy uderzenia serca Cymmerianin stał twarzą w

twarz z gromadą napastników. Za moment nad ich głowami przeleciało kilkanaście szklanych kul

i rozbiło się u stóp barbarzyńcy.

Conan nie czekał, aż opary go obezwładnią. Z chrapliwym rykiem rzucił się na wroga.

Szeroki

miecz zamigotał nad głową. Trzask! Trzask! Dwaj przeciwnicy padli jak rażeni gromem.

Conan

znów przebił się przez ich szyk i znalazł się na wolnej przestrzeni. Wiedział, że nie może sam walczyć z całą zgrają. Mógłby zabić jeszcze kilku, ale wcześniej czy później zostałyby zarabany.

Już odczuwał zmęczenie i ociężałość kończyn, oddech zaś miał przerywany. Dym i zapach bladej

mgły zmuszały go do kaszlu. Cała załoga została unieszkodliwiona. Część zginęła od mieczy wrogów, ale większość powaliły blade opary.

Inny człowiek straciłby głowę, nie wiedząc co dalej robić. Statek był stracony. Pokład roił się od napastników ze smoczego statku. Żagle i takielunek spłonęły. W tej chwili ogarnięta ogniem

reja runęła z hukiem na przedni pokład, wznecając snopy iskier. „Czerwony Lew” palił się w kilku miejscach. Na pokład ciągle spadały kawałki płonących żagli i lin.

Conan rozumiał, że nie pomoże swym ludziom, jeśli pozwoli się zabić lub pojmać.

Barbarzyńska natura Cymmerianina popchnęła go do działania, zanim zdążył się nad nim zastanowić. Wbiegł na tylny pokład. Z dwóch sterników na pokładzie rufówki jeden zniknął,

a

drugi leżał martwy, podczas gdy nad jego ciałem stał Antillianin trzymając w dłoni zakrwawione,

zębate ostrze. Conan ruszył na niego i jednym pchnięciem przebił na wylot. Wróg upadł.

Conan puścił rękojeść miecza, zdjął swój rogaty hełm i rzucił go daleko w morze. Pochylił się i zerwał zabitemu ptasiogłowy hełm oraz przymocowany do niego aparat do oddychania. Nim pozostali wrogowie dotarli na rufę, Conan umocował aparat na własnej głowie i ramionach.

Tamci ruszyli na niego z krzykiem wściekłości. W porę chwycił miecz, by stawić im czoło.

Odparował uderzenie włóczni o falistym ostrzu i potężnym cięciem strzaskał hełm oraz głowę włócznika. Zanim ktokolwiek inny zdołał się zbliżyć do niego, Cymmerianin przechylił się

przez

burtę i skoczył do wody. Pociągnięty w dół wagą kolczugi i miecza, zatonął jak kamień.

Poranne słońce stało wysoko na niebie. Chmury zniknęły. Antillianie zbierali ciała nieprzytomnych piratów i przenosili je do wnętrza smoczego statku. Inni gasili ogień, przyduszając płomienie mokrymi szmatami lub zalewając je wiadrami morskiej wody.

Na koniec zwycięzcy wrócili na własny okręt. Pomost abordażowy cofnął się, a wrota na piersiach smoka zamknęły. Galera odpłynęła nieco do tyłu i ustawiła się rufą do statku piratów.

Potem ze skrzypem lin postawiono żagle na wiatr i smoczy statek ruszył tam, skąd przybył, holując za sobą „Czerwonego Lwa”.

W macki i kły uzbrojone.  
Na Lwa rzuciły się potwory...  
„Podróże Amry”

11

## GROZA MÓRZ

Conan uderzył o wodę z potężnym pluskiem, a zielone fale zamknęły się nad nim. Morze było zimne, lecz dotknięcie chłodnej, słonej wody nie było dla Conana przykre. Skaleczenia zapiekły, ale zimny wstrząs orzeźwił go, odpędzając zmęczenie. Cymmerianin pogrążał się w świetle o barwie przejrzystego nefrytu. Kadłub „Czerwonego Lwa” znalazł się nad nim i ujrzał skorupiaki obrastające kil.

W pierwszej chwili po uderzeniu o wodę Conan miał zamiar płynąć. Za moment jednak uświadomił sobie, że aparat oddechowy w ptasim hełmie umożliwia przebywanie pod wodą. Morskie dno było niezbyt głęboko i niebawem dotknął go stopami. Tu, w pobliżu wyspy porośnięta wodorostami i ukwiałami równina podchodziła łagodnie pod górę. Cymmerianin mógł więc bez trudu wydostać się na brzeg.

Oddychanie było w tych warunkach niełatwą sprawą. Dwie elastyczne rury przechodziły nad ramionami od zbiornika wiszącego na plecach pomiędzy łopatkami. Jedna z nich wchodziła do hełmu na wysokości nozdrzy, a druga na poziomie ust. Conan szybko zorientował się, że należy chwycić ustami wylot niższej rury i przycisnąć nos do wylotu wyższej. Kiedy wydychał powietrze ustami, kolumna lśniących bąbli z bulgotem wydostawała się z aparatu. Ta niezwykła metoda oddychania wymagała pewnej praktyki.

Dno pokrywał delikatny osad, który wzbijał się całymi kłębami po każdym kroku Conana. Światła było wystarczająco dużo, by wyraźnie widzieć najbliższe otoczenie. Piaszczyste pagórki znajdujące się w większej odległości ginęły w głębokim szmaragdowym półmroku.

Cymmerianin ruszył w kierunku brzegu. Szedł wolno, kołysząc się z boku na bok, ponieważ uzbrojenie i aparat oddechowy nieco mu zawadzały. Pomimo ciężaru kolczugi, miecza i butów czuł się dziwnie lekko. Oddychanie wymagało wprawdzie sporego wysiłku, ale Conan nie zważał na to.

Niezwykłe rośliny porastały bujnie dno morza. Barbarzyńca przepychał się przez falujące kłębowiska ich długich liści, przypominających połyskujące, wielobarwne wstęgi. Małe rybki o jaskrawych kolorach miały się wokół niego, błyskając złotem, purpurą, szmaragdem i szkarłatem. Kolonie różowych i białych koralów wznosiły się tu i ówdzie, przypominając skamieniałe drzewa.

Po przejściu przez las wodorostów Conan znalazł się na kamienistym terenie. Leżące tu głazy przypominały ruiny miasta gigantów. Roje morskich stworzeń kryły się w skalnych szczelinach.

Wiele z nich podobnych było do pokrytych kolcami kwiatów czy gwiazd. Były takie, których oczy tkwiły na szypułkach i inne wysuwające przed siebie jakieś niby gałązki o pierzastych zakończeniach.

Barbarzyńca zaklął w duchu, gdy jeden taki dziwoląg oparzył go w palec niczym pokrzywa. Po pewnym czasie Conan wydostał się na równą, skalną płytę i stanął na chwilę by odpocząć.

Słońce musiało być już wysoko, gdyż szmaragdowa głębia morza nabrała przezroczystości likieru miętowego. Cymmerianin znajdował się teraz na stoku góry tworzącej podstawę wyspy.

Niedaleko stąd w kamienistym zboczu rozwierały się ciemne usta podwodnej jaskini. Przyjrzawszy się pieczarze, Conan przezornie zdecydował, iż ominie ją z daleka. Jego doświadczenie z jaskiniami na pustkowiach dowodziło, że często były one zamieszkałe przez istoty groźne dla ludzi. Był też pewien, że nieszkodliwe małe rybki nie są jedynymi mieszkańcami okolic tej wyspy. Mijając pieczarę, spostrzegł ruch w jej ciemnym wnętrzu. Za moment zabłysła tam jasna plama wielkości talerza, a potem, tuż obok, następna. Coś

popęzło w stronę Cymmerianina po morskim dnie. Wyglądało jak gruba lina, albo raczej wąż pokryty gładką czarną skórą. Było giętkie, żywe i zwięzało się ku końcowi.

Gdy macka zbliżyła się, Conan zobaczył, że od spodu ma ona dwa rzędy ssawek. Na cieńszym

końcu były one wielkości monety, w grubszej części zaś osiągały rozmiar końskiej podkowy. Czubek podniósł się i dotknął buta Conana, tak jakby dziwaczny stwór chciał sprawdzić, czy to

jest jadalne. — Crom! — westchnął Conan rozpoznając w potworze krakena. Cymmerianin rzucił się do tyłu wyciągając miecz z pochwy.

Na powierzchni ziemi taki odskok przeniósłby go kilka stóp od miejsca, w którym stał, ale na dnie morza rzecz miała się inaczej. Conan stwierdził, że unosi się w górę i obraca na wznak. Woda przedostała się pod szklany hełm i zaczęła zalewać oczy, dopóki machając wolną ręką nie

wyrównał postawy.

Macka cofnęła się, a potem jak atakujący wąż poderwała się gwałtownie i owinęła dookoła uda Cymmerianina.

Conan uderzył mieczem, ale opór wody pochłonał większą część siły ciosu. Ostrze lekko nacięło gumowatą mackę i odbiło się.

Uchwyt na nodze stał się miążdzący. Conan uświadomił sobie gigantyczną siłę tych zwojów. Wiedział, że jeśli nie złamie uchwytu morskiego potwora, macka wciągnie go do jaskini. Tam czekał na niego ostry, papugowaty dziób i szorstki jak pilnik język.

Olbrzymi kraken nie był jeszcze całkiem obudzony. Bawił się leniwie ze swą ofiarą, zaciekawiony, ale zapewne nie głodny. Conan zobaczył inną mackę podnoszącą się w zasięgu jego wzroku, a za nią następną.

Barbarzyńca uniósł klingę i dźgnął w odnóże potwora, tuż za splotem, który ścisnął jego udo. Czubek miecza zatonął powoli w macce i wyszedł z drugiej strony. Conan dziękował wszystkim

bogom, że był uzbrojony w prosty, ostro zakończony miecz, a nie w zakrzywiony, pozbawiony

szpica bułat czy kord. W takim przypadku historia życia Conana z Cymmerii skończyłaby się właśnie tu i teraz.

Rozleniwiony kraken nie poczuł bólu. Conan ciął powoli mackę, poruszając ostrzem w górę i w dół. Nagle trafił na nerw i kończyzna potwora szarpnęła się do tyłu, pozbawiając Cymmerianina

równowagi. Za moment Conan był wolny.

Gdy znów stanął na piaszczystym dnie, druga macka ruszyła w jego kierunku, dotykiem badając dno. Kiedy znalazła się obok Conana, ten przyszpilił ją mieczem do dna oceanu.

Konwulsyjny skurcz kończyny spowodował, że klinga rozerwała ciało i wydosłała się z rany. Wijająca się macka popęzła ku jaskini, niczym zraniony wąż.

Woda wokół Conana zadrżała, gdy tytaniczna ośmiornica, rozdrażniona bólem ran,

przecisnęła swe cielsko przez gardziel pieczary. Conan zagapił się na budzące grozę rozmiary potwora.

Był on wielki jak dom. Macki były tak długie jak cały „Czerwony Lew”, a u podstawy miały grubość pnia stuletniego drzewa. Potężne odnóża przytrzymując się głazów ciągnęły za sobą resztę potwora. Pysk z dziobem znajdował się gdzieś pod kłębowiskiem ramion.

Za mackami sunęła głowa z dwoma oczami wielkości talerzy. Oczy te posiadały szparkowatą źrenicę, podobną do kociej, ale położoną horyzontalnie, a nie pionowo. Tuż za głową wlokło się

rozdęte, workowate cielsko, przypominające rozmiarami jedną z kolosalnych kadzi na wino w piwnicach króla Argos. Fale zmiennych barw przebiegały jedna za drugą po cętkowanym tułowiu. Białe, różowe, brunatne, kasztanowe i czarne.

Conan stał bez ruchu. Nie ważył się uciekać w dół po kamienistej pochyłości, którą miał za sobą. Potwór na pewno poruszał się w wodzie znacznie pewniej i szybciej niż on i dogoniłby go

bez trudu. Cymmerianin uznał, że jeśli będzie stać spokojnie, to stwór nie powinien go zauważyć.

Wszystkie morskie istoty z natury najlepiej widziały ruch i jaskrawe kolory. Stojący na tle ciemnych skał Conan był dla krakena niewidoczny. Problem polegał na tym, że ośmiornica sunęła prosto na barbarzyńcę. Prędzej czy później któreś z odnóży musiało go w końcu namacać.

Wybierając najprostszą drogę ucieczki, Cymmerianin podskoczył w górę tak, by znaleźć się nad ośmiornicą. Miał nadzieję przelecieć nad nią i opaść na zbocze za jaskinią.

Zapomniał jednak o tym, że skacząc w górę stał się dla krakena czarnym punktem poruszającym się na jasnym tle pofalowanej, srebrzystej powierzchni wody. Gdy tylko Conan znalazł się nad bestią, dwa ramiona poderwały się w górę i zamknęły go w miążącym uścisku.

Jedna macka objęła Cymmerianina w pasie, a druga schwyciła lewą nogę. Potężne szarpnięcie ściągnęło go w dół, prosto w rozwierający się dziób...

Conan przebił jedną z trzymających go macek, ale potwór tym razem nie zareagował.

Ośmiornica mogła pozwolić sobie na to, by stracić w walce większość swoich macek, które potem i tak by jej odrosły. Za moment rozwierający się dziób musnął but Conana.

I wtedy na potwora runął jakiś czarny cień. Jedna z macek przytrzymujących Cymmerianina zwiotczała nagle i odpadła. Błysnęły dwa rzędy trójkątnych zębów. W środku drugiej macki zabrakło nagle odcinka długości trzech piędzi. Pozostała jej część odwinęła się i opadła na dno

oceanu, trzepocząc się jak przepołowiony robak.

Napastnikiem był ogromny, czarny rekin, długi na ponad trzydzieści stóp. Po pierwszym ataku

drapieżca zawrócił gwałtownym ruchem. Przez chwilę wisiał nieruchomo w zielonej wodzie, po

czym znów uderzył. Jego pozbawione wyrazu żółte oczy spoglądały tym razem na Conana.

Cymmerianina chwyciła jeszcze jedna macka owijając się pod prawym kolanem. Nagła konieczność przydała ramionom starego barbarzyńcy nadzwyczajnej mocy. Płynnym ruchem Conan ciął mackę na odlew i stał się wolny.

Za moment Conan odbił się obunóż od głowy krakena i wyleciał w górę usiłując uniknąć pędzącego jak meteor rekina. Trzymany w ręku miecz posłużył jako ster. Dzięki temu Cymmerianinowi udało się w ostatniej chwili usunąć z drogi atakującego rekina.

Zębata paszcza zatrzasnęła się tuż obok. Przed oczami Conana mignęły ostre, chropowate łuski i jaśniejszy pas ciała na brzuchu rekina. Potężne zaburzenia wody wokół płynącej ryby zakreśliły barbarzyńcę jak żdźbłem słomy.

Rekin zawrócił i znów zaatakował. Conan wiedział, że tym razem nie zdoła uskoczyć. Wtem, gdy morski rozbójnik był już o długość włóczni, pomiędzy nim a Conanem śmignęły trzy

czarne macki i zacisnęły się na cielsku potwornej ryby. Rekin wygiął się i kłapnął wściekle paszczą. Następną macka została przegryziona na pół, jednak pozostałe zaplotły się wokół drapieżcy niczym żywa sieć.

Conan schował miecz, by mieć wolne ręce do pływania, i zerkając za siebie odpłynął pośpiesznie z miejsca starcia, z trudem przewyciężając ciężar kolczugi. Głownóg zaplótł na rekinie nawet swe okaleczone ramiona, zasłaniając mu oczy i zatykając skrzela. Oślepiiony i unieruchomiony drapieżnik nie zdołał już dosięgnąć zębami swego przeciwnika.

Tymczasem ośmiornica za pomocą ssawek dwóch zdrowych ramion przyczepiła się do skał i nie dała się porwać walczącej o życie rybie. Niebawem wszystko zakryła skłębiona czerń.

Ogromna chmura wypuszczonego przez krakena atramentu rozlała się we wszystkich kierunkach.

Conan nie zastanawiał się, czy ośmiornica osiągnęła swój cel, dusząc i pożerając rekina, czy też chmura atramentu oznaczała, że to rekin zwyciężył, a ośmiornica pod osłoną ciemności rzuciła się do ucieczki.

Kilkaset jardów dalej Cymmerianin usiadł na dnie oceanu by trochę odpocząć. Miał jeszcze do

przejścia milę lub trochę więcej. Był bardzo zmęczony, ale pragnienie wydostania się na ląd szybko pokonało znużenie. Conan powstał ciężko i powoli pomaszerował przez zielonkawą otchłań. W swym fantastycznym hełmie z połyskującego kryształu wyglądał niczym posępny bóg

głębin.

Zatopione głęboko, w mistycznej czerwieni,  
gdzie słońca zachodzą w przepychu zórz.

Zapomniane imperia wciąż trwają niezmiennie  
niczym zmory z pradawnych dni.

„Prorectwo Epemitreusa”

12

ZAGINIONE MIASTO

Conan wyszedł z morza i stanął na kamienistej plaży. Uniósł głowę i ujrzał zachodzące słońce przeświecające przez blanki nadmorskich murów.

Powoli ściągnął kryształowy hełm, aparat do oddychania i rzucił to wszystko na kamienie.

Zzuł buty i wylał z nich wodę. Potem siedział przez chwilę, dysząc ciężko. Męcząca i niebezpieczna wędrówka po dnie morza poważnie podkopała siły starego wojownika.

Cymmerianin wylądował blisko portu. Wzdłuż kamiennych nabrzeży, rozciągających się na północ i południe, cumowało kilka większych statków. Inne stały na kotwicach. Na pokładach nie było śladu życia. Załogi siedziały zapewne w kajutach przy wieczornym posiłku lub zeszły na

ląd. Ci Antillianie, pomyślał Conan, muszą być głupcami przeświadczeni o własnej sile, skoro

nie wystawili nigdzie żadnych straży. Nieco dalej, pomiędzy okrętami Antillian, Cymmerianin

dostrzegł kadłub „Czerwonego Lwa”.

Conan był nie tylko zmęczony całodziennym wysiłkiem, ale i potwornie głodny. Siedząc pod ciemnym niebem, rozmyślał co dalej zrobić.

Był tutaj zupełnie obcy, samotny i pozbawiony przyjaciół. Jego wzrost, kolor skóry i rysy

twarży bardzo odróżniały go od niskich, brązowoskórych Antillian. Dodatkowym problemem był

język. We własnym świecie Cymmerianin potrafił rozmówić się w tuzinie języków.

Antillianie

zaś musieli używać jakiegoś dialektu o pradawnym, atlantydzkim pochodzeniu, który w świecie

Conana albo został zapomniany, albo ogromnie się zmienił w ciągu minionych ośmiu tysięcy lat.

Niezależnie od tego wszystkiego, nie mógł jednak siedzieć beczynnym. Musiał jak najszybciej znaleźć sobie kryjówkę. Podniósł się i przesunął dłonią po murze obronnym odgradzającym miasto od portu. Mur ten zbudowano z olbrzymich zgrubnie ciosanych głazów. Zaprawa pomiędzy nimi zwietrzała i wykruszyła się pozostawiając szpary, w które można było wcisnąć

palce rąk i nóg. Jako młodzieniec, Conan wspiąłby się na taką ścianę bez wysiłku. Jednak od wielu lat nie zdarzało mu się dokonywać podobnych wyczynów. Uchwyt dłoni nie był już tak silny jak kiedyś, a także zniknęła gdzieś dawna pewność ruchów.

Cymmerianin zdjął buty i wetknął cholewy za pas. Kusiło go, by zrzucić z siebie kolczugę, ale

postanowił ją zatrzymać. Pozbycie się jedynej osłony w obliczu niebezpieczeństwa tylko po to,

aby uwolnić się od jej ciężaru, byłoby nieroztropnym działaniem, godnym bezmyślnego młokosa,

a nie przebiegłego, starego wojownika.

Zaczął się wspinać wciskając palce w wykruszenia pomiędzy warstwami kamieni. Pełzł po murze powoli niczym wielki jaszczur. Nieraz czuł, jak palce ześlizgują się i prawie pogodził się z

myślą, że spadnie i połamie sobie kości. Jednak nie zabrakło mu siły. Na koniec dotarł do blanków i zsunął się na szeroki szczyt muru.

Miasto rozpościerało się przed nim. W pobliżu stały rybackie chaty i szopy oświetlone czerwienią zachodzącego słońca. Dym unosił się z otworów w dachach chat. Tu i tam rybacy rozwijali sieci do wysuszenia. Nagie brązowe dzieci biegały wokoło zajęte zabawą. Dalej ciągnęły się brukowane ulice, a w ich perspektywie wznosiły się duże i małe kamienne domy. Miasto zbudowano na łagodnym zboczu góry i z miejsca, w którym przykucał Conan, widać było ulice i place tworzące rodzaj tarasów. Większe budowle zaprojektowano w jednolitym stylu,

z grubymi, przysadzistymi i stożkowatymi kolumnami podtrzymującymi ciężkie nadproża o kształcie klinów. Mury ozdobiono stiukami i pomalowano kolorami od ciemnej purpury, przez

jasny brąz i szmaragdową zieleń, aż po jaskrawy błękit. Styl architektoniczny przypominał Czarne Khemi lub tajemnicze mury opustoszałych miast, które wiele lat temu Conan oglądał na

pustyniach i w dżunglach Południa.

Im wyżej wznosiły się ulice, tym bardziej okazałe stały przy nich gmachy. Były to pałace lub świątynie o dachach z czerwonej dachówki i pozieleniałej miedzi.

Mury, gzymsy, obramowania okien i kapitole kolumn pokrywały rzeźbione twarze powykrzywiane w złośliwych grymasach. Papuziodziobe, uskrzydłone, wielonogie istoty, z obcych Conanowi mitów i legend, zdobiły reliefy nad każdym z portali.

Na szczycie góry wznosiła się tytaniczna piramida o stromych ścianach, wybudowana z naprzemiennych warstw czarnego bazaltu i czerwonego piaskowca. Pióropusz dymu unosił się z



najwyższego poziomu piramidy, gdzie Conan dostrzegł niewyraźny zarys olbrzymiego ołtarza.

Szeregi kamiennych stopni, strzeżonych przez kamienne potwory, znajdowały się na każdym z boków piramidy.

Budowla emanowała złowieszczą, niepokojącą aurą zagrożenia i strachu. Spoglądając na tę budowlę, Conan poczuł, jak cierpnie mu skóra na grzbiecie, a w piersiach odzywa się pomruk wrogości.

Na mrocznych ulicach widać było pojedynczych ludzi. Jacyś żebracy układali się do snu pod gzymsami domów. Tu i ówdzie przemykali spóźnieni przechodnie. Conan poczekał, aż ulice miasta ogarnie zupełny bezruch.

Potem podniósł się i szedł z muru prowadzącymi w dół schodkami.

Znalazłszy się u podnóża muru, rozejrzał się szybko. Nie stwierdził jednak żadnych oznak, iż został dostrzeżony. Usiadł więc i wdział buty. Jedyłą bronią, jaką posiadał, był dwuręczny miecz

oraz sztylet. Nie było to dużo przeciw miastu pełnemu wrogów, ale do zwycięstwa potrzebna była przede wszystkim odwaga i hart ducha. Nigdy nie prosił bogów o więcej.

Jak wielki cień Cymmerianin przemknął pomiędzy ruderami i ruszył przez miasto. Szedł przez

ciemne zaułki i kręte uliczki, unikając szerokich i prostych alej łączących kolejne poziomy miasta. Chciał wiedzieć, gdzie znajduje się Sigurd i piraci, o ile jeszcze żyli. Być może

trzymano ich w pobliżu targu niewolników lub gdzie indziej... W mieście, w którym nie było ani jednego

człowieka mówiącego zrozumiałym językiem, Conan miał niewielką szansę odnalezienia i uwolnienia swych towarzyszy. Mimo to nie zamierzał rezygnować. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu

się porzucić kompanów w potrzebie.

Na razie najważniejszą sprawą było znalezienie bezpiecznego schronienia. Tylko gdzie w mieście pełnym wrogów i niebezpieczeństw można było znaleźć sprzymierzeńców?

W tej kwestii mimo wszystko mógł liczyć tylko na przychylność swych barbarzyńskich bogów. Szedł właśnie wąską uliczką, biegnącą pomiędzy dwoma rzędami niewielkich, jednoizbowych domów, kiedy nagle usłyszał ostry gwizd. Obejrzał się szybko z dłonią na rękojęści miecza, gwizd zaś powtórzył się w innym miejscu. Kilkaście kobiet pojawiło się w

drzwiach domów, kiwając na Cymmerianina.

Conan rozumiał, że zabłądził na ulicę nierządnic. Wybrał dom na chybił trafił i ruszył do drzwi. Nie było czasu przyglądać się kobietom, by wybrać najbardziej urodziwą.

Nierządnicę pociągnęła Conana do swego pokoju. Izdebka była skąpo oświetlona jedną

łojową świecą stojącą na półce wiszącej na ścianie. Kobieta przemówiła potokiem niezrozumiałych sylab, ale wyciągnięta dłoń, zwrócona grzbietem do dołu, były wystarczająco wymowna.

Conan wyciągnął zza pasa kiesę, wyjął z niej sztukę złota i położył na otwartej dłoni. Kobieta wzięła monetę, zapiszczała uradowana i rzuciła się Conanowi na szyję. Była pełnych kształtów i

niezbyt ładna. Miała na sobie prostą bawełnianą sukienkę.

— Spokojnie, dziewczyno! — mruknął Cymmerianin. — Ta moneta chyba jest warta kilkudniowego wikt, czyż nie?

Kobieta dotknęła brody i włosów Conana, a kiedy przemówiła, w jej słowach zabrzmiało rozczarowanie. Barbarzyńca i tym razem domyślił się ich znaczenia.

— Pewnie uważasz, że jestem za stary na te rzeczy, he? — powiedział uśmiechając się szeroko. — Później to sprawdzimy. Tymczasem, na Croma, daj mi coś do jedzenia, zanim umrę z głodu! — Pokazał na migi sens tego, co powiedział.

W godzinę później Conan siedział przy posiłku, który przygotowała Catlaxoc. Zgłodniały Cymmerianin wgrzył się w dużego, pieczonego ptaka o dziwnym smaku. Kobieta stała z tyłu, czekając aż barbarzyńca skończy jeść.

— A to? Co to jest? — spytał pokazując na osobliwy owoc na stopę długi i porośnięty rzędami złotych ziaren. — Jak to się je?

Z trudem zdołał jej wyjaśnić, że chce się dowiedzieć nazwy rośliny.

— Mahiz — odpowiedziała.

— Mahiz, he? Cóż, pokaż jak się to je. Chodź tutaj, siadaj i jedz, albo pożrę wszystko nie zostawiając nic dla siebie!

Naśladując nierządnicę, obgryzał rzędy ziaren z kolby kukurydzy, a w międzyczasie wypytywał o nazwy innych potraw. Po posiłku on i Catlaxoc mogli już wymienić kilka prostych zwrotów.

Na koniec Conan przeplukał gardło dzbanem nie znanego mu sfermentowanego soku. Czknął i spojrzał na Catlaxoc, która opuściła oczy i uśmiechnęła się, a potem popatrzyła znacząco na alkowę w rogu pokoju.

Conan uśmiechnął się szeroko.

— No cóż, dziewczyno, nie jestem taki młody jak dawniej, a do tego zmęczony marszem po dnie morza, walką z ludźmi, rekinami i krakenami. Ale musisz wiedzieć, że dobra stal nigdy nie mięknie zbyt łatwo...

Podniósł się, rozprostował, wziął Catlaxoc na rękę i zaniósł do alkowy.

Kilka dni później, wieczorem, Conan pożegnał się z ladacznicą Catlaxoc. Kobieta przywarła do niego płacząc i musiał użyć łagodnie siły, by się od niej uwolnić. Cymmerianin miał teraz na

sobie bawełniany płaszcz i rodzaj spódniczki, noszonej powszechnie na Antilliach. Catlaxoc kupiła te rzeczy dla niego i nauczyła podstaw języka tubylców. Conan wiedział już, że jest w Ptahuacan, ostatnim mieście Atlantyd, które pozostało na Ziemi. Stare szaty i broń ukrył w tobole przewieszonym przez lewe ramię.

Cymmerianin nie ośmielił się pokazać na ulicy za dnia, gdyż jego wzrost, kolor skóry i rysy twarzy czyniły go zbyt odmiennym. Dlatego postanowił działać w nocy. Teraz miał już dobrze

przemyślany plan i należało go zrealizować.

Noc mijała i Conan stracił nadzieję, że znajdzie to czego szukał. Wreszcie, gdy skradał się ciemną aleją w stronę wielkiego placu, ogromna postać owinięta w płaszcz z piór wyszła z bocznej uliczki i skierowała się prosto ku niemu.

Conan zamarł, potem skoczył na nieznajomego, jak atakujący lew. Zanim mężczyzna zdążył wydać jakiś dźwięk, Conan dzielił go pięścią w skroń, pozbawiając przytomności.

Oglądając swoją ofiarę, pomyślał w pierwszym momencie, że jeśli wojownicy w szklitych zbrojach, ze smoczego statku byli przeciętnymi Antillianami, to ten człek był tu niemal olbrzymem. Dopiero po chwili Conan zobaczył, że mężczyzna ma buty z podeszwą wysoką na

osiem cali. Cymmerianin nie miał pojęcia, do czego mogła służyć ta mistyfikacja.

Nieznajomy

wyglądał na kapłana lub czarownika: ogolona głowa, ręce pokryte pierścieniami, łańcuchy z pieczęciami, amulety i maleńkie idole na cienkim rzemyku owiniętym dookoła szyi. Conan przyjrzał się dłoniom mężczyzny. To musiał być kapłan? Żadne inne zajęcie nie czyni rąk tak miękkimi i delikatnymi.

Nieznajomy pod płaszczem z piór był prawie nagi, pomijając wąską spódniczkę z ułożonej w fałdy bawełny. Grube bransolety ze złota, ozdobione zawilými ornamentami, okrężyły jego nadgarstki, ramiona i kostki nóg. Płaszcz miał kaptur ozdobiony piórami. Szatę utkano z grubej

wełny, a pokrywające ją pióra były białe. Dutki piór przeciągnięto pomiędzy splotami wełny i umocowano z drugiej strony. Podbicie płaszcza stanowiła cienka, szkarłatna tkanina podobna do

jedwabiu, chroniąca ciało przed szorstką, kłującą powierzchnią.

Conan stwierdził, że jeśli wdzieje szatę bez podwyższonych butów, to będzie tylko trochę wyższy niż jej dotychczasowy właściciel. Z kapturem na głowie Cymmerianin mógłby pójść wszędzie bez zwracania na siebie uwagi. Jednak nawet kaptur nie był w stanie ukryć

posiwiałej brody, która nie pasowała do ogolonej twarzy kapłana.

Conan rozwiązał ten problem odrywając kawałek czerwonego podbicia i owijając tym dolną część twarzy. Potem włożył buty i kolczugę, a miecz zawiesił u boku. Wdział płaszcz i naciągnął

kaptur.

Nie miał sposobności ocenić efektu, ale uznał, iż nie powinien zwrócić uwagi przypadkowych przechodniów. Jego błękitne oczy i szkarłatna szarfa dookoła twarzy mogłyby wzbudzić zainteresowanie, ale Conan nie przejął się tym. Z doświadczenia wiedział, że kapłani i magowie

nie bywają zaczepiani przez zwykłych ludzi, którzy raczej unikają spotkań z przedstawicielami wyższej kasty.

Cymmerianin śmiało wszedł na plac oświetlony światłem księżyca oraz kilkoma pochodniami wetkniętymi w pierścienie na murach budynków. Niebawem jego przebranie zostało poddane próbie. Zaraz za rogiem brunatnoskory kupiec związał przed nocą swój stragan. Człowiek ten pakował właśnie ozdoby z miedzi, jadeitu, srebra i złota, gdy Conan pojawił się w jego polu widzenia. Kupiec natychmiast zgiął się w pokłonie, schwycił amulet z jadeitu wiszący mu na piersiach i pozostał w tej pozycji, dopóki Cymmerianin nie przeszedł.

Nie ulegało wątpliwości, że Antillianie bali się swoich kapłanów i byli im posłuszni. Przy odrobinie ostrożności i szczęścia Cymmerianin nie musiał więc obawiać się zatrzymania.

Tę noc i cały następny dzień Conan krążył po Pthauacan, nie budząc żadnych podejrzeń.

Kapłani w podobnych szatach byli zwyczajnym widokiem na ulicach ostatniego z atlantydzkich

miast. Później, kiedy ulice stały się zupełnie puste, Cymmerianin znalazł opuszczoną, walącą się

chatę i tam spał do świtu. Potem znów ruszył na poszukiwania.

W porannym blasku Conan ujrzał tuzin innych postaci w szatach z piór, kroczących wyniośle na koturnowych podeszwach butów. Szli dostojnie przez tłum, nigdy nie odpowiadając na pokorne pozdrowienia tych, których mijali. Wyglądało na to, że kapłani starej Atlantydy byli również rządcami tego miasta, ludność zaś była im całkowicie podporządkowana. Conanowi lud

Pthauacan wydał się jedną wielką masą przestraszonych twarzy. Mieszkańcy miasta z lękiem w

ciemnych oczach pośpiesznie schodzili z drogi wysokim kapłanom w szatach z piór.

Ptahuacan było cudem architektury, łączącym wyrafinowaną kulturę ze starożytną tradycją i dobrze rozwiniętymi kanonami artystycznymi. Kamieniarstwo stało na znacznie wyższym poziomie w stosunku do tego, co Conan widział we własnym świecie. Nawet miasta Aquilonii nie mogły dorównać Ptahuacan ogromem budowli czy perfekcją kamieniarskiej roboty. Fantastyczna świątynia na szczycie góry była większa od najpotężniejszych piramid Stygii.

Jej

budowa musiała trwać setki lat. Dookoła świątyni biegły amfiteatralnie wznoszące się stopnie,

zdołne pomieścić tysiące widzów.

Conan spędzał najwięcej czasu na placu przy piramidzie, gdyż był to doskonały punkt obserwacyjny. Widać stąd było całe miasto i główne wejście świątyni, a przy okazji można było

uniknąć spotkania z kapłanami. Ci na szczęście nie byli zbyt towarzyską kastą. Nieprzystępni i

zajęci własnymi sprawami, rzadko zatrzymywali się, by pomówić ze sobą.

W miarę możliwości Conan starał się podchodzić blisko rozmawiających ludzi. Rozumiał już wiele słów i mógł samemu powiedzieć kilka zdań. Chociaż gramatyka była zupełnie inna niż w

jakimkolwiek języku hyboreańskim, to niektóre ze słów przypominały wyraźnie ojczystą mowę

Conana.

Stary Cymmerianin przypominał sobie legendy, mówiące o tym, że Atlanci byli przodkami Cymmeryjczyków. W mało znanych czasach przed Kataklyzmem, plemiona i klany dawnej Cymmerii wojowały i mieszały się z kolonistami z Atlantydy. Zanim ocean pochłonął ten kontynent, wielu cymmeriariskich najemników służyło w armiach atlantydzkiego imperium.

Tak

powstały podobieństwa w językach ludów żyjących po obu stronach Oceanu Zachodniego. Zbieżności te nie były jednak wystarczające, aby Conan mógł w ciągu kilku dni nauczyć się antylliańskiej mowy.

Z podsłuchanych słów i strzępów zdań, które zdołał zrozumieć, Cymmerianin zorientował się, że aktualnie w Ptahuacan plotkowano głównie na dwa tematy. Pierwszym z nich była walka pomiędzy smoczym statkiem ze straży morskiej i obcym okrętem z nieznanymi stron. Drugim zaś

bluźniercza napaść na jednego z kapłanów, którego, rzecz nie do wiary, okradziono ze świętej szaty z piór. Conan spragniony nowin nasłuchiwał, gdzie przebywa i jak się ma jego załoga, lecz

jeśli ktoś znał odpowiedź na to pytanie, to zachowywał tę wiedzę wyłącznie dla siebie.

W pewnej chwili, gdy Cymmerianin przechodził koło kramów na zatłoczonym targowisku, pojawiła się szansa rozwiązania tego problemu. Mały człowieczek w podartej przepasce biodrowej podszedł z obojętną miną do okutej miedzią skrzynki, w której jeden z kupców trzymał sprzedawane wyroby: kule z ołowiu, pierścienie z miedzi i srebra, tulejki ze złotym pyłem. W momencie gdy Conan na niego patrzył, złodziej ze zręcznością i szybkością atakującego węża zanurzył chudą rękę w skrzyni, chwytając dwie tulejki ze złotym pyłem.

Kupiec, zajęty rozmową z bogato ubranym klientem, nic nie zauważył. Conan uśmiechnął się, obserwując jak złodziej odchodzi na bok, a tulejki znikają w fałdach jego przepaski.

Człowieczek przemknął chyłkiem przez bazar, a Conan ruszył za nim pustą aleją. Chwilę potem jednym skokiem dopadł małego Antyllianina, który pisał jak przestraszona mysz, kiedy

potężna dłoń Cymmerianina zacisnęła się na jego cienkim ramieniu. W następnym momencie

Conan odbił pchnięcie ostrego jak igła noża z obsydianu, który pojawił się nie wiadomo skąd,  
i  
wykręcił rękę mężczyzny. Nóż o ostrzu z wulkanicznego szkła zadzwonił na bruku.  
Kiedy złodziej podniósł przerażone oczy na olbrzyma w kapturze z piór, Conan warknął po  
antilliańsku, potwornie kalecząc zgłoski:  
— Zaprowadź mnie do króla złodziei, albo złamię ci rękę!  
Nareszcie kości w tej grze odwróciły się na korzyść Cymmerianina. Tak jak wszystkie  
wielkie  
miasta, również Ptahuacan musiał mieć swój podziemny świat przestępców, zorganizowanych  
w  
bractwo złodziei.

Zła istota z Mroku przybyła  
z odległych wymiarów,  
Ci co uchwycili jej bramy,  
zginą, jak całe doczesne życie.  
„Proctwo Epemitreusa”

13

### ZŁODZIEJE Z PTAHUACAN

Jeniec poprowadził Conana przez najnędrniejsze dzielnice starożytnego miasta. Tutaj  
bezdumni nędzarze i brudni żebracy leżeli w poprzek chodników. Wymalowane dziewczki  
wychylały się z okien, obrzucając się wyzwiskami i nagabując przechodniów. Conan  
uświadomił  
sobie niewyobrażalny wiek miasta. Niektóre kamienne stopnie i pochylnie zostały  
zeszlifowane  
w ukośne siodła przez kroki niezliczonych pokoleń. Kamienne balustrady były wyszlifowane  
dotykaniem milionów dłoni. W innych miejscach deszcz i wiatr zmieniły głązy w bryły  
porowatej,  
rozsypującej się masy. W tej części miasta wiele domów leżało w gruzach. Trawa rosła  
pomiędzy  
rozluźnionymi kamieniami bruku, a drzewa wypełniały gmatwaną gałęzi opuszczone  
ogrody i  
podwórza. Jeżeli widok kapłana w szacie z piór był tu czymś niezwykłym, to żaden z  
mieszkańców nie dał tego po sobie poznać. Na widok Conana ciągnącego ze sobą małego  
złodzieja o szczurzej twarzy zaledwie jeden człek podniósł na nich zdziwione oczy.  
Wydawało  
się, że w tej części Ptahuacan istnieje zwyczaj ostentacyjnego ignorowania poczynań innych.  
Każdy pilnował tylko własnej skóry. Bez wątpienia kwitło tutaj bezprawie.  
Kiedy dotarli na miejsce, stanęły przed nimi dwie tęgie postacie uzbrojone w pałki.  
Następnych dwóch pojawiło się tuż za nimi. Jak na Antillian, byli to wielcy i tężdy  
mężczyźni.  
Ubrani byli tylko w przepaski z połatannej skóry. Patrzyli na Conana zimnym, ponurym  
spojrzeniem czarnych oczu, zbliżając się z obydwu stron.  
Conan puścił jeńca, aby położyć dłoń na rękojęści miecza ukrytego pod szatą. Mały złodziej  
odsunął się o krok, a potem wyrzucił z siebie potok słów zbyt szybki, by Conan mógł go  
zrozumieć.  
— Chapnął mnie po tym, jak wziąłem trochę złotego pyłu z budy Hatupera — tłumaczył się  
złodziej. — Nie wiem, czego on chce w imię piekła, ale...  
— Spadaj, Itzera — warknął jeden ze zbirów. — Dowiemy się czego chce. — Zbliżył się

szybko, unosząc maczugę nabijaną miedzianymi ćwiekami.

Conan parsknął śmiechem odrzucając kaptur i szatę z piór. Szeroki miecz syknął opuszczając pochwę. Tamci zatrzymali się nagle, jak zaczarowani. Powodem tej reakcji nie był jednak strach.

— O władco piekieł... żelazo, albo jestem ślepcem! — sapnął ze zdumienia jeden z nich.

Drugi mruknął coś, przypatrując się Conanowi. Wzrost, nie strzyżona broda, włosy oraz pałające błękitne oczy barbarzyńcy wprawiły Antillianina w osłupienie.

— Na bogów śmierci, kim on jest? — syknął. — Takich mężczyzn nigdy nie było na żadnej z wysp!

Wsparty plecami o mur, Conan uśmiechnął się kołysząc mieczem z boku na bok.

— Ktoś, kto ukradł kapłanowi taką szatę, przyjaciele, na pewno nie szpieguje dla waszych władców! — zagrział Cymmerianin z trudem dobierając słowa. — Ja chcę mówić z waszym królem w dobrym interesie dla obydwu. I będę z nim mówić, czy to się wam podoba, czy nie! Uniósł miecz tak, że dzienne światło zamigotało na ostrzu. Tamci czterej i rzezimieszek cofnęli się, spoglądając na przeciwnika ze wzrastającą trwogą. Miecz Conana wydawał się wzbudzać większy lęk niż on sam. Należało przypuszczać, że zapewne z braku rud stopy żelaza

były tutaj nieznanne i tylko w legendach przetrwały opowieści o żelazie i stali ze starożytnej Atlantydy.

— No! — mruknął Conan. — Zaprowadzicie mnie do swego wodza, czy wolicie walczyć?

Miejscowym przywódcą podziemia był nieprawdopodobnie gruby człowiek imieniem Metemphoc. Twarz jego była kulistą bryłą słońiny, w której dwoje oczu połyskiwało jak kawałki

szlifowanego obsydianu. Usta o cienkich wargach rozcinały okrągłe oblicze, a nos był zaledwie

kropłą pomiędzy rozdętymi policzkami.

Kwaterę króla złodziei tworzył ciąg opuszczonych piwnic biegnących pod zrujnowanymi domami. Ściany lochów obwieszono wspaniałymi gobelinami, a na kamiennej podłodze rozłożono maty i garbowane skóry wielu rodzajów zwierząt. Srebrne kadzielnice wypełniały powietrze mieszaniną cudownych woni. Luksus i jaskrawy przepych apartamentów

Metemphoca

żywo kontrastował z nędzą panującą na zewnątrz.

Król złodziei wyglądał jak gruba ropucha owinięta wspaniałym brokatem. Leżał na stercie poduszek i słuchał opowieści Conana z kamienną twarzą i błyszczącymi zimno oczyma. Nie wyrzekł ani słowa, dopóki Conan nie skończył. Potem, przez denerwująco długą chwilę Metemphoc przyglądał się Cymmerianinowi, patrząc to na miecz, to na właściciela żelaznej broni. Na koniec król złodziei podparł tłuste podgardle pękatymi palcami, na których skrzyło się

mnóstwo pierścieni, roześmiał się gardłowo i zawołał o mięso i wino.

— Na wszystkich bogów, wielkoludzie! — zachichotał Metemphoc — Nie słyszałem dotąd takiej opowieści, jak długie i liczne są dni mego życia, a zatem to musi być prawda! Tak, z taką

barbarzyńską grzywą, obrośniętą twarzą, oczami koloru nieba i, hmm, akcentem, od którego mogą odpaść me biedne, stare uszy, nie mogę nie wierzyć, że przybyłeś z nieznanego lądu na wschodzie. Jednakowoż, nasi ukochani panowie, święci kapłani, ha!, wmawiają nam, że nie ma

tam nic, prócz bezkresnej wody, bez najmniejszej okruszyny lądu.

Przyjacielsko stuknęli się kielichami. Conan przełknął słodkie i cierpkie wino, jakiego nigdy dotąd nie próbował. Niewątpliwie, napój zrobiono nie z winogron, tylko z jakichś

miejscowych owoców.

Barbarzyńca poczuł się całkiem jak w domu. On i ropuchowaty wódz złodziei rozumieli się bez słów. Chociaż urodzeni o tysiące mil od siebie, w różnych kulturach, w głębi serca posługiwali się tym samym językiem bezprawia.

Niebawem przyniesiono jedzenie i ustawiono pomiędzy nimi na niskim stole. Zgłodniały Conan rzucił się na posiłek. Obok antilliańskich potraw, które już znał, były jeszcze orzechy i jagody. Na deser przyniesiono dziwne, duże i kłujące owoce z pękami sztyletowatych liści wyrastających ze szczytu. Ich oryginalny smak całkowicie zaskoczył Conana.

W trakcie posiłku Cymmerianin zapytał o swych piratów.

— Tak, wiem o dziwnym statku, pełnym cudzoziemskich barbarzyńców, który nasza morska straż zdobyła kilka dni temu — powiedział Metemphoc. — Jest to jedyny powód, dla którego jestem skłonny ci wierzyć.

— Czy moi ludzie żyją, a jeśli tak, to gdzie są?

— Żyją, lub żyli do ostatniej nocy, a są w lochach pod PrzedSIONKIEM Bogów. To ta szara cytadela stojąca na skraju Placu Wielkiej Piramidy.

Conana zastanowiło, że przebiegły przywódca podziemia tak chętnie i szczerze udziela mu informacji, jakich potrzebował. Widać było wyraźnie, iż chłodny i jasny umysł Metemphoca poszukuje sposobu zrobienia na obcym dobrego interesu.

— Jaki będzie ich los?

— Zostaną złożeni w ofierze na szczycie Wielkiej Piramidy.

— He? — Conan poruszył się gwałtownie.

— Będą ofiarowani bogowi Xotli, w trakcie rytuału pochodzącego ze starożytnej Atlantydy...

— wyjaśnił gospodarz.

Włosy na karku Conana zjeżyły się, kiedy Metemphoc z kamiennym spokojem objaśnił mu miejscowe zwyczaje. Przed zatonięciem Atlantydy kapłani Xotli czcili swego boga–demona w

straszliwym rytuale krwi i przerażenia. Kiedy Starzy Bogowie zniszczyli Atlantyde za jej grzechy, kapłani Xotli i ich niewolnicy uciekli z tonącego lądu na potężnej flocie latających statków, napędzanych tajemniczą siłą vril.

Conan słyszał wcześniej legendy o podniebnych statkach Atlantów. Rozumiał, że z biegiem czasu statki te zostały zniszczone lub ich moc wyczerpała się, a tajemnice budowy zaginęły w tysiącleciach barbarzyństwa, które nastąpiły po Kataklizmie.

— Kapłani Xotli — ciągnął Metemphoc — wywędrowali ze skazanego kontynentu na południowy zachód i wylądowali na mało znanym łańcuchu wysp zwanych Antillie. Łańcuch zawiera siedem dużych wysp leżących na Oceanie Zachodnim pomiędzy zatopioną Atlantydą i

dużo większym kontynentem zwanym Mayapan, a położonym dalej na zachód. Wyspy te były w

posiadaniu rasy niewysokich, brunatnych i skośnookich dzikusów, podobnych do ludzi z Mayapan. Atlanci bez trudu podbili tubylców i zamienili ich w niewolników. Przez tysiąclecia,

które minęły od Kataklizmu, krew Atlantów i tubylczych Antillian wymieszały się ze sobą i dzisiaj wyspy zamieszkuje już tylko jedna rasa.

Od czasu zdobycia Antilli i zbudowania Ptahuacan, kapłani Xotli, zorganizowani w Hierarchii Świętych Tajemnic Xotli, rządzą tutaj żelazną ręką. Hierarchowie trzymali lud w posłuszeństwie

głosząc, że wszystkie lądy, nawet Mayapan, zatoneły razem z Atlantydą i cały świat stał się morską pustynią, która rozciąga się od Antilli we wszystkich kierunkach, aż po krańce świata, tam gdzie morze spotyka niebo, a gwiazdy wznoszą się z piany nieskończonego oceanu.

— Czy ty w to wierzysz? — spytał Conan.

Metemphoc roześmiał się rubasznie.

— Gdyby zapytał mnie kapłan, powiedziałbym: tak. Dużo ludzi wierzy, a innym brakuje śmiałości, by dyskutować z kapłanami. Kilku z nas wiedziało jednak, że Mayapan istnieje.

Teraz

twoje przybycie dowodzi, że istnieje też ląd po drugiej stronie wód.

— Dlaczego kapłani głoszą te kłamstwa?

— Pomaga to w utrzymaniu poddanych w posłuszeństwie. Jeśli ludzie wierzą, iż nie ma innego ładu, na który mogliby zbiec, to nie będą próbowali uciekać spod żelaznych rządów kapłanów Xotli.

— Opowiedz mi o tym bogu—demonie i jego rytuałach.

— Xotli, Władca Strachu — rzekł Metemphoc — jest bogiem—demonem z Pradawnej Nocy. Pojawia się zwykle pod postacią czarnej chmury lub lodowatego wiru spijającego dusze zabitych

na ołtarzu na szczycie piramidy. Siła życiowa ofiar umożliwia zachowanie więzi pomiędzy Hierarchią a Władcą Strachu przebywającym w zaświatowych otchłaniach.

Gruby król złodziei opowiedział Conanowi o nagich jeńcach zabijanych tysiącami na szczycie czarno—szkarłatnej budowli. Tam, na Ołtarzu Wiecznej Nocy, kapłani rozcinali piersi ofiar nożami z wulkanicznego szkła, wydzielali im serca i ofiarowywali je wirującej chmurze wampirycznej ciemności, która pojawiała się wtedy nad piramidą i wisiała godzinami, karmiona

żywą siłą ludzkich dusz. Zwłoki ofiar zrzucano w dół w studnię bez dna.

W trakcie opowieści Conan pomrukiwał, a jego oczy miały gniewne ognie. Sama idea składania ludzi w ofierze nie poruszyła go zbyt. Widział wiele krwi na drogach swego długiego życia, a podobne praktyki nie były nieznanym narodom, wśród których przebywał. Jednak

fakt, że to jego przyjaciele i podwładni mieli zginąć w tym barbarzyńskim rytuale — to było coś

zupełnie innego!

Zalał swą wściekłość cierpkim winem i zapytał:

— A skąd pochodzą Czerwone Cienie?

Conan dowiedział się wtedy, iż ludność Antilliów zaczęła się zmniejszać z powodu nadmiernych ofiar i dlatego kapłani zmuszeni byli podróżować w dalekie strony, by chwytać odpowiednią liczbę jeńców, niezbędnych dla zaspokojenia pragnienia Xotli. Najpierw wyprawiali

się na wybrzeża Mayapanu. Później, kiedy tubylcy skryli się w głębi niezbadanych lasów, kapłani zaczęli szukać gdzie indziej.

— Czerwone Cienie, jak je nazywasz — mówił Metemphoc — są służebnymi duchami Najciemniejszego. Nie wiedziałem, że Hierarchowie, oby ich dusze odrodziły się jako robaki, wyprawiali się na wschód. Czarny Xotli musi być bardzo głodny! Nasze ofiary wzrosły ostatnio

tak bardzo, że miasto jest wyludnione, jak zapewne zauważyłeś. Są ulice, przy których nie mieszka już nikt. Tysiące ludzi uciekło w góry lub na sąsiednie wyspy. Ale kapłani dopadają zbiegów i tak. Morska Straż, która pojmała twój okręt, obserwuje zatokę i chwyta każdego, kto

wątpiąc w słowa kapłanów, próbuje uciec na ląd za morzem.

Żyłaste, pokryte bliznami dłonie Conana otwierały się i zamykały, jak gdyby zaciskały się na ludzkim gardle.

— Teraz rozumiem, czym są Czerwone Cienie — warknął Cymmerianin — i jak dotarły do mojego świata. Wiem też, że gdy mroczne siły raz zyskają oparcie w świecie ludzi, to potrzebują



stale rosnącej liczby ofiar dla podtrzymania swego bytu. Demony Pradawnej Nocy są — nie wiem, jak to wyrazić w waszym języku — są zaprzeczeniem istnienia. Nie są niczym, ale czymś

mniej niż niczym. Życiowe siły ofiar wypełniają pustkę ich fałszywego istnienia. Jednak ta próżnia nigdy nie może się wypełnić. Demony potrzebują więc coraz więcej i więcej krwi, by podtrzymać swój pozór życia. Czy rozumiesz mnie?

— Rozumiem — potwierdził Metemphoc — Mów dalej.

— Musicie ich powstrzymać za wszelką cenę. Inaczej niepohamowani słudzy Czarnego Xotli spustoszą wszystkie krainy tego świata, aż cała planeta zostanie oczyszczona z ludzi. Potem ci szaleńcy zaczną zabijać zwierzęta, by w końcu zostawić świat rybom i robakom. To przed tym

cię Epemitreusa usiłował mnie przestrzec. Ten wynaturzony kult powinien być zatonać razem z

Atlantyda osiem tysięcy lat temu.

— Z tego co powiedział duch twego mędrca — podsumował Metemphoc — wynika, iż bogowie wybrali cię, byś stanął pomiędzy ludźmi a Cieniem Zła. Tylko ty możesz wyrównać zachwianą szalę życia i śmierci.

— Tak — mruknął Conan. — Ale jak?

Płoną oczy hordy obłąkanej krwią,  
tryskającą w mrocznej jaskini.  
Błyszcą białe zęby w mroku tunelu,  
pędzących piszczącą chmurą.

„Podróże Amry”

14

## CZARNY LABIRYNT

Conan szedł ciemnym tunelem, w którym stalaktyty zwieszały się spod sklepienia, jak kamienne draperie, a z ich szpiców z rzadka skapywały krople wody. Dno jaskini pokrywał muł i

szlam. Tu i ówdzie szklistymi garbami wyrastały obłe stalagmity.

Zimne, wilgotne powietrze wypełniał wstrętny odór. Słaby powiew muskał chwilami twarz Conana, służąc mu za przewodnika. Stary Cymmerianin szedł przez Czarny Labirynt, który setkami mil rozciągał się pod Ptahuacan.

Dzień wcześniej Metemphoc zapewniał Conana, że nie ma żadnego sposobu, aby jeden człowiek zdołał wejść do silnie strzeżonej twierdzy, w której trzymano piratów czekających na

Dzień Ofiary, mający nastąpić za dwa dni. Niezliczone straże, bramy oraz drzwi z potężnymi sztabami uniemożliwiały dostęp do wnętrza kapłańskiej fortecy z każdej strony.

Jednakże Conan za nic nie dawał się skłonić do rezygnacji z tego zamiaru. Dręczony nie kończącymi się pytaniami, król złodziei wspomniawszy wreszcie o starożytnym labiryncie jaskiń leżących pod miastem. Jak powstały, tego nikt nie potrafił powiedzieć. Ptahuacan

wybudowano

na pokładach wapiennych skał i tunele te najprawdopodobniej były dziełem podziemnych strumieni.

Złodzieje dobrze znali najwyższe poziomy jaskiń i często ich używali. Jednak nawet oni omijali głębiej położone pieczary. Pomiedzy ludźmi Metemphoca krążyły podnoszące włosy na

głowie opowieści o dziwnych krzykach dochodzących z cuchnących głębin, o dziwacznych

kształtach widzianych przez mgnienie oka i o ludziach, którzy odważyli się zejść do najniższych

tuneli, po czym zniknęli na zawsze.

Zdaniem Metemphoca głęboko położone korytarze mogły być połączone z lochami PrzedSIONKA Bogów. Ta wiadomość sprawiła, że Conan postanowił zaryzykować. Gruby przywódca złodziei przyjął tę decyzję Cymmerianina ciężkim westchnieniem, a następnie wezwał swych przybocznych na radę. Zaczęto przeszukiwać archiwa złodziejskiej gildii. Odgrzebano starożytne mapy tuneli i Conan zagłębił się w pergaminach, zapamiętując przebieg

jaskiń oraz znaki orientacyjne, dzięki którym mógł odnaleźć drogę do celu. Teraz skradał się w

ciemności najgłębiej położonych korytarzy W rękę niósł latarnię ofiarowaną mu przez Metemphoca. Latarnia ta składała się ze zbiornika na olej, z którego wystawał knot. Obok płomienia znajdowało się zaopatrzone w uchwyt zwierciadło, ustawione tak, by światło padało

tylko w jedną stronę. Jak zapewniał Metemphoc, zapas oleju w cylindrycznym zbiorniku wystarczał na kilkanaście godzin.

Tu i ówdzie, pomiędzy wylotami rozgałęziających się tuneli, namalowano czarne znaki. Tam gdzie nie było żadnych widocznych oznaczeń, znakami orientacyjnymi były charakterystyczne

formy naciekowe, na przykład stalagmit przypominający pająka.

Conan szedł naprzód, cały czas czując na twarzy wilgotny powiew płynący z nieznanych głębin. Wokół Cymmerianina rozlegały się osobliwe, na wpół rzeczywiste glosy, które zawodziły, jęczały i szeptały. Co jakiś czas rozlegał się niesamowity krzyk, przechodzący od rozdzierającego wrzasku agonii do westchnienia zamierającego wiatru.

Niekiedy Conanowi wydawało się, że słyszy czyjeś kroki dochodzące z ciemnych, bocznych korytarzy. Ciche słowa lub drwiące śmiechy budziły w barbarzyńskiej duszy Conana zabobonny

strach, który dławiała żelazna wola Cymmerianina.

Jeszcze innym rodzajem dźwięków były odgłosy ślizgania, jakby ogromny robak pełził po kamiennej podłodze. Nawet tak zaprawiony w bojach stary wojownik, jak Conan, nie mógł powstrzymać dreszczu zgrozy, gdy zastanawiał się, jakie potwory mogą mieszkać w tych nieznających słońca głębinach jaskiń.

Cymmerianin tłumaczył sobie, że jęki i lamenty były po prostu odgłosami wiatru wiejącego poprzez rozgałęzione korytarze. Śmiech był zniekształconym przez echo bulgotaniem podziemnych wód. Odgłos pełzania mógł być spowodowany powolnym osuwaniem się ziemi...

Conana przeszły ciarki, gdy nagle poczuł na sobie spojrzenie niewidzialnych oczu przyglądających mu się z ciemności. Wędrował przez podziemne korytarze już ponad dwie godziny. Ślizgał się na mokrych kamieniach, potykał na nierównościach, przeskakiwał rozpadliny przecinające ścieżkę, uderzał głową o stalaktyty, przeciskał wąskimi przesmykami,

gramolił w górę i w dół oślizgłymi, stromymi zboczami. Spłoszył przy tym gromadę wiszących u

stropu nietoperzy. Te, rozszoszczone, ze skrzekiem odleciały w ciemność.

Wtem instynkt barbarzyńcy znów dał mu znać, że jest obserwowany.

Zwolnił kroku i szedł, czujnie nasłuchując. Patrzył w czarne gardziele jaskiń, wypatrując antylliańskich żołnierzy, ale nie dostrzegł żadnego znaku obecności ludzi. Wrażenie, iż jest

śledzony, stawało się jednak coraz wyraźniejsze. Conan zastanowił się, czy kapłani Antilliów nie

posiadają przypadkiem kryształowych kul, które mogli odziedziczyć po atlantydzkich przodkach,

a za pomocą których mogli obserwować teraz każdy jego ruch?

Stanął wstrzymując oddech. Daleko za nim rozległ się metaliczny szcęk, jakby otwieranej bramy. Czy tylko mu się to wydawało?

Dźwięk powtórzył się. Potem rozległ się stłumiony pisk, stukot i szelest. Cymmerianin pomyślał, że nieznanemu obserwator wypuścił za nim stado małych zwierząt zgrzytających po kamiennych posadzkach tysiącami pazurów.

Odgłosy przybrały na sile i stały się wyraźne. Conan wymruczał imię Croma, pół w przekleństwie, pół w modlitwie. Gotów był już uwierzyć, że tunele są przegrodzone kratami, a

jacyś czujni strażnicy zauważyli jego obecność i szykowali się, by go osaczyć.

Conan odwrócił się i oświetlił tunel za sobą. Światło odbiło się czerwono od setek par małych oczu poruszających się tuż nad ziemią. Jego prześladowcy jak fala wtargnęli w smugę światła. Były to szczury i to jakie!

Cymmerianin miał już do czynienia z szarymi szczurami krajów hyboriańskich, czarnymi z Venedhii i tęgimi brązowymi szczurami z Hyrkanii. Jednak te tutaj przewyższały szczury jego świata, tak jak normalny szczur przewyższa mysz. Były wielkości małych psów i ważyły po kilkanaście funtów. Ich białe zęby kłapały pożądamc mięsa i krwi.

Conan odwrócił się i pobiegł. Rytm kroków zgrał się z łomotem ciężko pracującego serca.

Przeciw tej krwiożerczej hordzie miecz był bezsilny, a on, największy wojownik ery hyboriańskiej, w ułamku chwili mógł zostać pochłonięty przez tę falę piszczących i kłających

gryzoni.

Biegł teraz tak szybko, jak nigdy w życiu. Szybciej niż pięćdziesiąt lat temu, gdy po wydostaniu się z zagrody dla niewolników w Hyperborei uciekał wśród deszczu i śniegu przed

zgrają wilków następujących mu na pięty.

Niebawem każdy oddech parzył mu płuca tak, jak gdyby wdychał zar z pieca. Serce tłukło się o żebra, a nogi zaczął zalewać ołów. Mięśnie bolały, jakby demony przebijały je rozpalonymi igłami. Mimo to biegł nie ustając. Pęd powietrza pochylił w tył płomyk lampy.

Tuż za Conanem szczury mknęły i skakały, utrzymując dystans kilkunastu kroków. Czasami któryś potykał się i wpadał pod nogi innym, następowała wtedy krótka wymiana pisków i ugryzień. Lecz reszta gromady pędziła dalej, wpatrzona w uciekającą ofiarę.

Wtem Cymmerianin usłyszał przed sobą szmer płynącej wody. Po kilkunastu krokach zobaczył rwący czarny potok i przez chwilę miał nadzieję, iż jest on dość wąski, by móc go przeskoczyć i uwolnić się od szczurów. Strumień miał jednak ponad dwadzieścia stóp szerokości.

Była to zbyt szeroka przeszkoda, by Conan zmęczony biegiem i obciążony bronią mógł pokonać

ją jednym skokiem. Dawno temu, w pełnych wigoru młodych latach, dokonałby tego z łatwością,

ale teraz...

Conan odwrócił się do napastników i stanął na szeroko rozstawionych nogach. Ciężko dyszał wciągając w płuca zimne, wilgotne powietrze, które cuchnęło teraz odorem tysięcy szczurów. Wyciągnął miecz szykując się do ostatniej walki.

Nic co żyło, nie mogło pokonać hordy oszalałych z głodu gryzoni, ale swą ostatnią chwilę

życia Conan postanowił przeżyć walcząc. Miał jeszcze dość siły. Mimo wieku mógł łamać karki

ludziom o połowę młodszym od siebie. Jeśli żadne śmiertelne oczy nie mogły być świadkiem ostatniej potyczki Conana z Cymmerii, to tylko bogowie będą rozkoszować się tym widowiskiem.

Conan stał na trójkątnym występie skały, sterczącym nad podziemną rzeką, niczym miniaturowy przylądek lub półwysep. W tym miejscu szczury nie mogły dotrzeć do niego z boków i z tyłu. Mogły atakować tylko z przodu.

Z gardzieli tunelu wylała się masa czarnoszarego futra, czerwone oczy podobne były do gwiazd z jakiegoś przekłętego wymiaru nieba. Piskliwy szczebiot i zgrzyt pazurów zagłuszyły szum rzeki.

Conan postawił latarnię między stopami i ujął miecz oburącz. Zaintonował bojową pieśń swego barbarzyńskiego ludu, a szczury były już przy nim. Pierwszy, który dostał się w zasięg miecza, przecięty na pół przeleciał nad całą hordą. Potem ciężki miecz zawirował jak skrzydło

wiatraka, kreśląc mordercze ósemki. Czubek ostrza raz po raz ginał w skłębionej masie. Po każdym ciosie kilka szczurów odlatywało na bok w kawałkach, z odciętymi kończynami lub wyprutymi flakami. Krew opryskiwała nogi Cymmerianina, a raz czy dwa czubek miecza dotknął

kamieni, tworząc półkolisty snop iskier.

Jednak napór całej gromady pchał pod migoczące ostrze wciąż nowe zastępy. Część szczurów zaczęła uctować na okaleczonych szczątkach martwych braci. Conan ciągle dorzucał im nowe

dania. Ostrze było już czerwone do rękojeści, a kamienie pod stopami stały się śliskie od krwi.

Przy każdym cięciu z miecza spadał deszcz czerwonych kropel.

Pomimo tej rzezi nie udało się utrzymać gryzoni na dystans. Kilka szczurów wbiło spiczaste zęby w twardą skórę na butach Cymmerianina. Conan wściekle kopał i deptał, wygniatając życie

z tych, które roły się u jego stóp. Następne szybko zajmowały wolne miejsca.

Jeden wdrapał się na cholewę buta i ugryzł Conana w udo. Szybkie cięcie przez grzbiet strąciło napastnika w dwu połówkach. Inne dotarły do brzucha i piersi, ale próby kąsania udaremniła kolczuga. Kolejny gryzoń wykonał ogromny skok, lądując na piersi Conana i usiłując

sięgnąć gardła. Cymmerianin zdusił go, zanim wąsaty pysk dotknął szyi. Potem potężnym kopniakiem zepchnął do rzeki całą gromadę szczurów.

Walka wydawała się nie mieć końca. Buty i kolczuga ochroniły Conana na tyle, że doznał tylko kilku małych ran. Od ukąszeń krwawiły mu oba uda i lewa ręka, którą chwycił gryzonie wspinające się po ubraniu.

Wtem szczury odstąpiły na chwilę, a Conan zdyszany rozejrzał się dokoła. Zobaczył teraz coś,

czego nie spostrzegł wcześniej. Kilkadziesiąt kroków w dół podziemnego strumienia znajdował

się naturalny, kamienny most. Cymmerianin zrozumiał, że jeśli zajmie ten skalny łuk, to szczury

będą musiały podchodzić najwyżej trzy na raz. Na tak wąskim przejściu Conan mógł powstrzymać szczurzą hordę przez całą wieczność.

Pomyśleć oznaczało działać. Cymmerianin rzucił się do mostu na przełaj przez piszczącą masę

gryzoni. Wiele z nich skakało w górę, kłapiąc z taką furją, że kolana barbarzyńcy spływały krwią, a spodnie zamieniły się w strzępy. Jednak impet Conana był zbyt wielki, aby szczury mogły go powalić.

Łapiąc oddech, Cymmerianin wbiegł na kamienny łuk i zajął miejsce na środku, tam gdzie ścieżka się zwężała.

Zanim szczury zorientowały się w sytuacji, zyskał czas na wyrównanie oddechu i uspokojenie nerwów.

Potem horda znów zaatakowała. Conan stanął do walki trzymając miecz w obydwu dłoniach. Gdy szczury zbliżyły się, Cymmerianin zaczął ciąć metodycznie lewa–prawa–lewa–prawa, masakrując nacierające gryzonię. Ginęły dziesiątkami i setkami. Inne były strącane do strumienia. Małe, owłosione łebki unosiły się nad wodą, próbowały dopłynąć do brzegu, ale szybki nurt porwał je i unosił w ciemność.

Nigdy w ciągu całego życia Cymmerianina jego miecz nie przeciął tylu istot. Gdyby szczury były ludźmi, Conan stojąc nad podziemną rzeką wymordowałby cały naród. Walczył jak

nieznająca zmęczenia maszyna...

Koniec walki nadszedł niespodziewanie. Ogromny czarny szczur z najeżonymi wąsami, zapewne ojciec wszystkich szczurów, ważący ponad dwadzieścia funtów, wyskoczył z piszczącego stada i runął wrogowi do gardła. Conan dawno już stracił czucie. Ramiona miał odrętwiałe i ciężkie jak ołów, rozstawione nogi zaś były jak słupy z żelaza. Szczur wbił ostre pazury pomiędzy ogniwa kolczugi i rzucił się do szyi Cymmerianina. Ten, wyczerpany walką, nie miał już siły, by oderwać gryzonia od siebie. Ostre, długowate zęby rozcięły skórę pod brodą.

Kiedy następny szczur skoczył na but Conana, barbarzyńca spróbował go kopnąć, lecz chybił, stracił równowagę i runął na plecy. Naturalny most załamał się z głośnym trzaskiem. Cały środkowy odcinek wraz z Cymmerianinem wpadł w czarny nurt.

Conan znalazł się pod wodą, ściągnięty w dół wagą kolczugi. Olbrzymi szczur, próbujący przegryźć mu gardło, zniknął, ale Cymmerianin zaczął się topić.

Odepchnąwszy się nogami od dna, wybił się na powierzchnię i zaczerpnął pełne płuca powietrza, po czym ciężar znów ściągnął go pod wodę. Szybki prąd obracał nim i włókł po

dnie jak worek piasku. Jeszcze raz wypłynął na powierzchnię. Zawsze był dobrym pływakiem, ale teraz kolczuga, która ochroniła go przed pokąsaniem, szykowała mu pewną zgubę.

Trzeci raz z wysiłkiem zdołał nabrać powietrza i znowu poszedł na dno. Na walkę o czwarty oddech zabrakło mu siły. Świadomość umknęła i Conan z Cymmerii zapadł się w głęboki sen bez marzeń.

Na próżno Lew walczy i powala wrogi  
Cała jego załoga już w Piekło spogląda...

„Podróże Amry”

15

LOCH ROZPACZY

Sigurd z Vanaheimu był zdumiony. Kiedy on oraz reszta załogi „Czerwonego Lwa” ulegali trującej mgłę, wydawało się pewne, że już nigdy więcej nie zobaczą światła dnia. Śmierć jednak

cofnęła od nich swe czarne szpony. Jeszcze i tym razem ominął Sigurda jej pocałunek.

Oszołomiony i zaskoczony pirat zbudził się w obszernej ładowni antilliańskiego statku. Leżał w towarzystwie innych piratów, którzy także odzyskiwali świadomość. Wokoło stali niscy, brunatni, śmiejący się wojownicy.

Sigurd pojął w końcu, co mu się przytrafiło. Omiótł spojrzeniem twarze załogi. Byli sponiewierani i pokrwawieni, a paru miało cięższe rany.

Ból przeszył serce starego korsarza. Z niepokojem ponownie przyjrzał się załodze. Ale gdzie jest Conan? Znajomej twarzy, porytej bliznami, z czarnymi brwiami pod stalowo-szarą grzywą,

nigdzie nie można było dostrzec.

Sigurd znał dobrze niezłomną odwagę Cymmerianina i wiedział, że tylko kilku ludzi w ciągu pół wieku mogło się pochwalić, że pojmało Conana żywcem. Ten posiwiaty wilk mógł wybrać

śmierć w walce niż niewolę u tych karłowatych, brunatnych ludzi. Jeśli jednak Conan został zabity, to dowództwo należało teraz do Sigurda.

— Odwagi, moje serduszka! — zawołał do załogi stary pirat. — Chociaż nie jesteśmy wolnymi ludźmi, to jednak ciągle żyjemy. A kiedy złapiemy oddech, to niech mnie utopiają jak szczura lądowego, jeśli nie wyrąbiemy sobie wolności!

Goram Singh spojrział nań nieruchomym, ponurym spojrzeniem.

— Gdzie jest Amra, Sigurdzie? Dlaczego nie ma go wśród nas? — zapytał Venedhianin.

Sigurd powoli pogładził swą czerwoną brodę.

— Na ogon Shaitana i gwiazdę Ningal, kamraci, nic nie wiem. Być może jest w innej części tej przeklętej galery...

Venedhianin przytaknął w milczeniu i odwrócił wzrok unikając oczu Sigurda. Wiedział równie dobrze jak Vanir, że bardziej prawdopodobne jest to, iż potężny Cymmerianin leży gdzieś

na dnie morza z antilliańskim mieczem w brzuchu. Podróż do portu w Ptahuacan zajęła blisko godzinę. Sigurd zmrzył oczy, gdy wyprowadzono ich na ląd skutych ciężkimi spizowymi łańcuchami. Z zaciekawieniem spojrział na miasto wznoszące się tarasami na zboczu góry.

Nigdy w życiu Sigurd z Vanaheimu nie widział tak dziwnej metropolii. Całe miasto okrywał przypominający całun cień ogromnej, czarno-czerwonej piramidy. Ze szczytu owej świątyni wznosił się nieustannie pióropusz dymu, upodabniając ją do stworzonego ludzkimi rękami wulkanu. Piraci nie mieli czasu podziwiać starożytnego miasta. Szybko poprowadzono ich pod

górze do twierdzy, stojącej tuż obok wielkiej piramidy. Kiedy potężne wrota zadudniły za nimi,

błękitne niebo na wiele dni zniknęło z oczu piratów. Straże popędziły ich w dół po nie kończących się kamiennych stopniach, prowadzących do wnętrza góry, na której zbudowano Ptahuacan. Na koniec dotarli do olbrzymiej sali wykutej w litej skale. Tutaj zdjęto im kajdany, po

czym skuto jednym, długim łańcuchem przebiegającym przez pierścienie wmurowane w ścianę.

Piraci mogli teraz jedynie siedzieć lub leżeć.

Potem straż wyszła i jeńcy zostali sami.

Wysoko ponad głowami więźniów wisały płyty świecącego metalu. Wytworzony przy pomocy czarów lub zapomnianej wiedzy metal Atlantów jarzył się łagodnym, bladoróżowym światłem. Sigurd zastanowił się, czy to przypadkiem nie orichalk, ale było zbyt wiele pilniejszych spraw, by marnować czas na takie domysły.

Raz dziennie przynoszono jedzenie. Kilka wiader tłustej, gorącej brei wylewano do długiego, cuchnącego koryta biegnącego wzdłuż muru, do którego byli przykuci. Głód szybko przewyciężył odrazę i załoga „Czerwonego Lwa” chciwie oczekiwała pory posiłku. Cały

autorytet Sigurda pochłaniało powstrzymywanie piratów od bójek o te nieapetyczne pomyje. Zamknięci w tym wilgotnym miejscu, z dala od widoku słońca i gwiazd zupełnie stracili rachubę czasu. Nie wiedzieli, czy byli tutaj dni czy miesiące. Nieustannie spierali się o to pomiędzy sobą, aż w końcu Sigurd nie wytrzymał.

— Zamknijcie się wszyscy! — ryknął. — Doprowadzicie mnie do szaleństwa tym trajkotaniem. Możemy być pewni, że karmią nas o tej samej porze każdego dnia, tak więc posiłek oznacza jeden dzień. Yasunga, ty będziesz odmierzał dni. Znajdź miejsce na ścianie i rób rysę po każdym przyniesieniu tej brei.

— Ależ, Sigurdzie — poskarżył się któryś Ophiryjczyk. — Nie wiemy, jak wiele dni przeminęło. Jedni mówią cztery, inni że pięć, a jeszcze inni sześć lub siedem. Skąd mamy wiedzieć?

Przerwał, gdy Vanir szczęknął wściekle łańcuchem.

— Zamknij się, albo owinę łańcuch dookoła twego nędznego karku i ścisnę tak, że twój zawoszony łeb odpadnie jak robaczywa tykwa. Każdy może dodawać swoje dni do karbów Yasungi i dosyć tego! Każdemu, który zacznie o tym gadać, rozwałę czerep jak jajo!

— Ach, jaja! — odezwał się Zamorianin Artanes, z wielkim jak niedźwiedź brzuchem. — Czego bym nie zrobił za parę tuzinów smażonych jaj...

Z brudu pojawiły się zakażenia. Nie opatrzone rany zaczęły ropieć. Dwóch ludzi zmarło. Tęgi Shemita, któremu w walce rozbito czaszkę, umarł wrzeszcząc na niewidzialnego wroga.

Drugi

był Murzyn z dżungli południowego Kush, którego spaliła gorączka. Obydwa ciała zabrali antilliańscy strażnicy.

Z pomocą nawigatora Yasungi, bosmana Singha i dowódcy łuczników Yakova Sigurd starał się utrzymać ludzi w karności i dobrym nastroju. Było to trudne, gdyż piraci łatwo poddawali się

niemądrym żalom i wybuchom gniewu pomieszanym z zabobonnym strachem, napadami przygnębienia lub desperacji. Sigurd nie zawsze mógł sobie z tym poradzić. Jego imię budziło wprawdzie respekt, ale nie tak wielki jak imię Amry.

Najlepszym sposobem, jaki wymyślił stary pirat, by podtrzymać ludzi na duchu, były opowieści o przeszłości. Godzinami wspominali więc bitwy, oblężenia i najazdy, w których brali udział.

Raz za razem odwoływali się do czynów Conana. Opowiadali sobie, jak u boku pięknej Belit plądrował Czarne Wybrzeże i zapuścił się rzeką w głąb nieznannej dżungli, gdzie królową piratów

spotkał przerażający los. Mówili o tym, jak dziesięć lat później Amra pojawił się znów, by żeglować z barachańskimi piratami i jak zgarniał łupy jako kapitan zingarańskich bukanierów.

Bez przerwy wspominali fantastyczną karierę swego przywódcy, bohatera tysięcy przygód i zwycięzcy setek starć, pojedynków i ogromnych bitew.

W końcu jednak nawet Sigurd stracił nadzieję. Ciemny, wilgotny loch o ponurych kamiennych

ścianach przygniatał ducha zbyt mocno i zbyt długo. Niepewność losu była nie do zniesienia. Kilkanaście razy Sigurd, z pomocą najsilniejszych ludzi z kompanii, próbował zerwać wiążące

ich łańcuchy z brązu. Jego ogniwa były jednak twarde i nieustępliwe. Nieustanne szarpanie, tarcie i wykręcanie jedynie lekko zmatowiło ich powierzchnię.

Ucieczka wydawała się leżeć poza ich możliwościami. Mogli tylko czekać na wypełnienie się

swego losu. I wreszcie czas nadszedł.

Szczęk metalu obudził Sigurda z niespokojnego snu. Zerwał się ze słomy i zobaczył, że salę wypełniają antilliańscy żołnierze. Piratów rozkuto, kopniakami zmuszano do powstania, po

czym

wiązano im ręce na plecach.

— Co to jest, kapitanie? — mruknął Goram Singh. Sigurd potrząsnął głową.

— Crom i Mitra to wiedzą, bosmanie! — warknął, po czym podniósł głos: — Raźniej, chłopcy! Wyprostujcie się i pokażcie tym parszywym psom, że jesteśmy mężczyznami, choć leżymy tutaj we własnym gnoju jak zwierzęta. Jeśli czeka nas pieńek katowski, to na zieloną brodę Lira i czerwone serce Nergala, pokażemy tym śmierdzącym świniom, jak umierają mężczyźni, co, chłopcy? Będziecie ze starym Sigurdem do końca?

— Aye, Czerwonobrody! — odkrzyknęli piraci.

— Dobrze, chłopcy! A może będzie to tylko targ niewolników, he? Przy odrobinie szczęścia takich krzepkich chłopaków jak my kupią wysoko urodzone damy do specjalnej służby w

swoich

alkowach! — mrugnął znacząco okiem.

Korsarze odpowiedzieli chórem gwizdów i sprośnych żartów. Sigurd śmiał się szeroko i

chichotał. W tej chwili nie miało znaczenia to, co naprawdę myśleli w głębi duszy.

Najważniejsze było zachować fason!

Niebawem przekonali się, że czeka ich los gorszy niż śmierć. Mrużąc oczy od słońca, piraci spoglądali przerażeni na rozgrywający się wokół ponury spektakl. Stali tuż pod szczytem piramidy pod idealnie błękitnym niebem. Słońce wisiało wysoko nad ich głowami. Łapczywie chłonęli w płuca świeżą morską bryzę, po raz ostatni rozkoszując się jej orzeźwiającym powiewem. W dole, na placu wokół świątyni tłoczyły się dziesiątki tysięcy mieszkańców Ptahuacan.

Sigurd był pierwszy w długim szeregu piratów stojących jeden za drugim. Byli nędznie wyglądającą gromadą lepiących się od brudu oberwańców, z długimi włosami i splątanymi brodami. Przed Sigurdem stało jeszcze kilkudziesięciu związanych, nagich Antillian.

Żołnierze

otaczali ich wszystkich zwartym potrójnym szpalerem.

Kapłani w szatach z piór i w butach na koturnach krzatali się dookoła. Kilkunastu stało na szczycie piramidy, trzymając dziwne proporce i chorągwie. Nagle zaświstały bicze i z trzaskiem

spadły na plecy i ramiona piratów. Żołnierze gwałtownymi gestami zaczęli wskazywać na szczyt.

Długa linia milczących jeńców bez oporu ruszyła kamiennymi stopniami na wierzchołek świątyni.

Sigurd ujrzał najpierw wielki i czarny, kamienny ołtarz, a następnie tron, na którym siedziała postać w szacie z czerwonych piór.

Do pierwszego ze związanych Antillian podeszło czterech kapłanów w maskach zwierząt. Chwycili jeńca pod ramiona, przecięli więzy i rozpostarli na ołtarzu. Wtedy siedzący na tronie kapłan wstał i podeszedł do nich. Poruszał się powoli, z powagą i dostojeństwem. Wyciągnął chude, brunatne ramię i nakreślił jakiś tajemniczy znak na nagiej piersi leżącego na wznak Antillianua. Wtedy...

Oczy Sigurda załzawiły nagle od słońca i musiał zniżyć głowę, aby je otrzeć. Kiedy znów spojrzął przed siebie, zobaczył ramię kapłana unoszące w zaciśniętej pięści obsydianowy sztylet.

Ostrze opadło kreśląc krótki łuk. Człowiek na kamieniu szarpnął się konwulsyjnie. Przez chwilę



arcykapłan pochylał się nad ofiarą, rznąc nożem i pomagając sobie wolną ręką. Potem ociekające krwią ramię uniosło do góry szkarłatną drgającą bryłę. Było to serce wycięte z ciała żywej jeszcze ofiary.

Tysiące zebranych ludzi wydało radosny pomruk. Kapłan zaintonował gardłową litanie, kołysząc się w rytm jej melodii, przypominającej szum morza. Ze świętego ognia płonącego obok ołtarza buchnął czarny słup dymu, gdy serce ofiarowanego rzucono na rozpalone węgle. Zwłoki odciągnięto za ołtarz, po czym czterej kapłani ruszyli po następną ofiarę.

Strażnicy popędzili szereg w górę o jeden stopień. Piraci postępujący za Sigurdem milczeli porażeni grozą. Stary korsarz nie czuł nic oprócz zimnej pustki. Czas się dla niego zatrzymał, a

wszechświat skurczył do objętości jego ciała. Jeszcze kilka chwil i wszystko będzie już za nim.

Jego długa podróż dobiegnie kresu. I cóż znaczą wszelkie ludzkie sprawy? Czyż każde ludzkie

życie jest tak bez sensu, jak okazało się jego? I jeszcze...

Wewnątrz owłosionej piersi Sigurda dzielne stare serce zadrżało z odrazy. Jego męstwo zbuntowało się przeciw pokornemu poddaniu się losowi. Czyż nie był lepszy niż ci karzełkowaci

wyspiarze? Na młot Thora, był! Nie obawiał się śmierci. Ona i on byli starymi towarzyszami.

Czy naprawdę już nic mu nie pozostało? A duma? Aye, na Badb i Morigana, została mu jeszcze

duma!

Sigurd zaśmiał się warkliwie, ściągając na siebie uwagę stojących w pobliżu piratów i antillianskich żołnierzy. Aye! Piekło czekało na śmierć starego Vanira!

Usłyszał skrobanie łusek po kamieniach

I Amra wiedział, że już nie jest sam...

„Podróże Amry”

16

W SMOCZYM LEGOWISKU

Wpierw pomyślał, że nie żyje, a morze życia wyrzuciło jego wypełnione wodą zwłoki na mroczne wybrzeże tamtego świata. Przez chwilę leżał nieruchomo, z niedowierzaniem mrugając

oczami. Potem, stopniowo, budziły się inne zmysły i Conan zrozumiał, że przeżył. To było niewiarygodne, ale prawdziwe!

Uniósł się na łokciu i rozejrzał wokoło. Leżał w pustej jaskini, w której, rzecz dziwna, nie było zupełnie ciemno. Na ścianach i stropie błyszczały tysiące małych punktów, rozjaśniając mrok łagodnym światłem. Przez chwilę wydawało się Conanowi, że jest pod gołym niebem, a zielone ogniki są gwiazdami.

W rzeczywistości leżał na mokrym, gruboziarnistym piasku na brzegu podziemnej rzeki.

Wpływała ona do jaskini niskim, łukowatym zwięzieniem, które rysowało się mgliście pod powierzchnią pędzącej wody. Kilka kroków dalej potok zakręcał ostro, znikając w innym otworze. Nagła zmiana kierunku musiała wyrzucić nieprzytomnego Conana na zewnątrz łuku zakrętu, a jakaś tłąca się w nim jeszcze iskierka instynktu zmusiła go, by wyczołgał się z wody na

brzeg.

Cymmerianin usiadł i zaczął badać swe obrażenia tak dokładnie, jak było to możliwe w

łagodnej, zielonkawej jasności wypełniającej jaskinię. Kości wydawały się nie połamane, ale całe

ciało pokryte było małymi skaleczeniami i stłuczeniami. Zęby ogromnych szczurów i kamienie

na dnie rzeki gęsto poznały jego skórę. Szczęśliwie, zimna woda podziemnej rzeki wymyła

rany do czysta.

Lekki nalot rdzy pokrył już ogniwa kolczugi, tak że przy każdym ruchu rozlegało się łagodne skrzywienie. Ciągle miał sztylet, ale miecz zgubił spadając do wody.

Stanął chwiejnie na nogach, zatoczył się i wyprostował. Bolał go każdy mięsień. Bitwa ze szczurami nadwerżyła jego żelazne siły do granic wytrzymałości. Nie było wątpliwości, że po

wydostaniu się z rzeki spał cały dzień i noc, a nawet dłużej.

Poruszając delikatnie zeszywniałymi członkami poczuł kłujący ból powracającego krążenia.

Nowa energia rozplynęła się po całym ciele. Niebawem jego mięśnie nabrały dawnej sprężystości. Odrzucił pustą pochwę miecza i uświadomił sobie, że jest głodny i spragniony. Pragnienie ugasił na skraju potoku, ale nie było jak zaspokoić wilczego głodu. Conan zaczął żałować, że nie ma tu żadnego wielkiego szczura...

Lekkie ruchy pod powierzchnią wody przyciągnęły uwagę Cymmerianina. W rzece były ryby!

Conan wszedł na wystającą skałę i położył się na niej obserwując wodę z cierpliwością starego

łowcy.

Nagły wyrzut długiego ramienia i palce Conana zacisnęły się tuż przy skrzelach miotającej się ryby. Ogłuszył zdobycz uderzeniem o skałę, zdarł łuski sztyletem i zjadł na surowo jędrne, białe

mięso. Kiedy skończył, umył ręce i twarz, po czym uznał, że pora rozejrzeć się po jaskini.

Szedł trzymając się blisko ściany. Poruszał się ostrożnie, by nie wpaść w jakiś rów czy jamę wiodącą do niżej położonych części labiryntu.

Niebawem doszedł do zakrętu jaskini i spojrzął na najbliższy zielony punkt połyskujący na ścianie. Odblask wydawał się pochodzić od czegoś podłużnego wielkości dziecięcego palca.

Zbyt

ostrożny, by dotknąć nieznaną rzecz gołą ręką, Conan wyciągnął sztylet i szturchnął czubkiem

zielony punkt. Obiekt zwinął się i odpadł od ściany, po czym puścił się żwawo po dnie jaskini.

Cymmerianin stwierdził, że jest to świecący robak. Były tu miliony tych stworzeń.

Conan chrząknął głośno. Nagle gromada świetlików usadowionych na pobliskiej ścianie jaskini wygasła swe światła, pozostawiając dużą łatę ciemności. Conan zamilkł i patrzył, jak setki małych, zielonych światełek zapala się ponownie i z wolna powracają do normalnej jasności. Nagły dźwięk najwyraźniej przestraszył robaki, które wygasły swe lampki.

Zielone światło ułatwiało poruszanie się, ale Cymmerianin sądził, że zboczył daleko od drogi, którą obrał na początku. Gdy uciekał przed szczurami, wybierał tunele najbardziej ułatwiające ucieczkę, nie zważając na pierwotną trasę, uzgodnioną z królem złodziei. W końcu Conan stwierdził, że nie jest w stanie przypomnieć sobie wszystkich obieranych kierunków oraz odległości i nie może wrócić na dawną drogę. Gdyby nawet zdołał tego dokonać, to mógłby znów natrafić na hordę szczurów, a teraz nie miał nawet miecza, by z nimi walczyć.

Dalej badał jaskinię. Ogromne stalagmity wyrastały tu i tam ze skalistej podłogi i niekiedy łączyły się ze zwisającymi stalaktytami. Te naturalne kolumny przypominały Conanowi filary świątyni bogów podziemi, przy których ogromie nawet on wydawał się karłem.

Conan pomyślał, że powinien postarać się o bardziej skuteczną broń niż sztylet. Potrzebował czegoś dłuższego, gdyż nie wiedział, jakich jeszcze mieszkańców podziemnego świata miał spotkać na swojej drodze.

Wszystkie stalagmity miały tępe czubki, Cymmerianin wybrał zatem wysmukły stalaktyt. Podniósł wapienną bryłę, ważącą około dwudziestu funtów, i rzucił nią w upatrzone miejsce. Stalaktyt pękł i spadł prosto w ręce Conana. Hałas spadających kawałków wapienia sprawił, że

zgasła połowa świetlików w najbliższej okolicy.

Cymmerianin obejrzał swą nową broń. Był to stożkowaty szpic długości około pięciu stóp, mający przy podstawie grubość nadgarstka mężczyzny. Czubek nie był tak ostry jak u prawdziwej włóczni, ale przy odpowiednio mocnym pchnięciu mógł przebić każdego przeciwnika. Chwyając odłamek za cieńszy koniec można go było użyć jako maczugi. Conan obawiał się jednak, że wapienny kolec jest na to zbyt kruchy. Na krótki dystans stalaktyt mógł posłużyć jeszcze jako oszczep.

Tak uzbrojony, Conan ruszył w dalszą drogę. W miarę jak szedł, jaskinia zwężyla się, a strop zniżył. Świetliki stały się mniej liczne, tak że w gęstniejącym mroku Conan musiał poruszać się

ostrożniej i badać stalaktytem drogę przed sobą, by nie wpaść w rozpadlinę. Mimo to potknął się

na jakiejś nierówności i uderzył całym ciężarem w najbliższy stalagmit. Wapienna kolumna złamała się i przewróciła z głośnym hukiem, który zadudnił echem w ciasnej przestrzeni.

Przestraszone świetliki zgasły natychmiast, pozostawiając Conana w zupełnej ciemności.

— Niech Ahriman pożre te przekłete jaskinie! — zaklął i ruszył przed siebie macając wokół jak ślepiec.

Wtem wyciągnięty do przodu stalaktyt dotknął czegoś, co się poruszyło. Conan zamarł w bezruchu, usiłując rozpoznać istotę znajdującą się przed nim.

W ciemnościach rozległ się głośny węzowy syk. W twarz Conana buchnął cuchnący gadzi odór. Pogłos w jaskini sprawił, że nie można było odróżnić, czy jest to jedno zwierzę czy kilka.

Pot spłynął na brwi Cymmerianina. Czyżby trafił na gniazdo węży? Jak wielu barbarzyńców z Północy, nie znosił tych gadów, które roiły się w dżunglach i górach południowych krain. Kilkanaście razy w swej karierze miał do czynienia z węzami daleko większymi od zwykle spotykanych. Były to potwory długie na ponad pięćdziesiąt stóp, o głowach wielkich jak u koni.

Cymmerianin postanowił wycofać się i zrobił krok w tył. Wtedy zabrzmiał odgłos szurania, jakby coś bardzo ciężkiego ciągnięto tuż przed nim. Conan stanął i wstrzymał oddech, nie chcąc

by najmniejszy dźwięk zdradził jego obecność.

Świetliki znów zaświeciły. Kiedy zielone światło ponownie zalało tunel, przed Conanem, na wysokości jego głowy zabłysło ogromne, żółte oko.

Chwilę potem Cymmerianin zobaczył przed sobą smoka. Gad podobny był do dużych, jadalnych jaszczurów, które sprzedawano na straganach Ptahuacan, był jednak trzy razy większy

od konia. Nieznacznie uchylone szczęki odsłaniały połyskujące szable zakrzywionych, białych

zębów. Rozwidlony język wysuwał się i cofał błyskawicznie, badając zapachy unoszące się w powietrzu.

Conan odwrócił się i rzucił do ucieczki. Smok podniósł łuskowate cielsko ze skały, na której spoczywał, i ruszył za Cymmerianinem. Potężne łapy posuwały się niezgrabnie i bez wdzięku,

ale każdy krok pochłaniał zdumiewająco dużą odległość.

Próbując obejść smoka, Conan skoczył w najbliższy, boczny zaułek. Światliki były w tym miejscu mniej liczne, ale daleko w przedzie pojawiło się silniejsze światło. Miało ono naturalny

odcień światła dziennego.

Tuż za Conanem smocze szpony skrobały głośno o dno jaskini. Łuski smagającego ściany ogona szeleściły rytmicznie. Conan sądził, że zdoła oddalić się od gada, ale były to płonne nadzieje. Cymmerianin musiał uważać na każdy krok, żeby nie upaść i nie zostać

schwytanym,

zanim zdoła się podnieść.

Tunel skończył się wpadając do wielkiej sali. Światło stało się mocniejsze. Było go tutaj na tyle dużo, by Conan mógł wyraźnie zobaczyć dwa następne smoki: po jednym z każdej strony.

Pierwszy z nich spał, a drugi kończył posiłek — przetykał właśnie parę ludzkich nóg zwisających

mu z pyska.

Kiedy Conan wbiegł między potwory, ten śpiący otworzył ślepią. Drugi potrząsnął uniesionym do góry łbem, w wyniku czego ludzkie nogi wsunęły się głębiej do paszczy i zniknęły z widoku. Oba gady ożywiły się i ruszyły w kierunku Cymmerianina.

Ścigający barbarzyńcę smok z donośnym pomrukiem wpadł do sali pomiędzy dwa pozostałe.

Wkrótce Conana gonili już wszystkie trzy. Ten z resztką człowieka w paszczy przełknął gwałtownie, uwalniając gardziel dla następnej ofiary.

Pierwsza jaskinia była przedsionkiem jeszcze większej sali, oświetlonej przez snop dziennego światła wpadającego przez dziurę w stropie. Sala ta została stworzona ludzkimi rękami — miała

regularny kształt, a w jednej ze ścian znajdowały się olbrzymie wrota z brązu. Po przeciwnej stronie sali w kamiennej ścianie osadzono szereg kołków tworzących rodzaj drabiny sięgającej

do wysokości trzydziestu stóp. Tam znajdował się zakończony platformą wylot innego tunelu.

Conan zobaczył uzbrojonego Antillianina przechadzającego się po platformie, ale nie było czasu

przyglądać mu się dłużej.

Całą uwagę Cymmerianina przyciągnęło sześć nowych smoków różnej wielkości, zgromadzonych na środku pomieszczenia. Wszystkie stały w koło, łbami do środka, dokładnie

pod wykutym w stropie światlikiem. Każdy łuskowaty pysk był zwrócony w górę ku otworowi,

przez który wpadałoienne światło. Sprawiały wrażenie, jak gdyby modliły się do jakichś tajemniczych smoczyczych bogów. Zębate grzebienie rogowych płytek biegly wzdłuż ich grzbietów

od łbów aż po końce łuskowatych ogonów.

Płuca Conana wypełnił gęsty, stęchły fetor. Pośród brudu pokrywającego podłogę sali Cymmerianin spostrzegł skórzaste skorupy gadzich jaj, które swą wielkością przewyższały strusie jaja z Kush. Było tu także mnóstwo nie strawionych ludzkich kości. Tu czaszka, tam szczeka, a gdzie indziej fragment kręgosłupa lub żebra.

Gdy Conan wpadł do sali z trzema smokami na karku, cała szóstka przerwała czuwanie i zwróciła głowy w jego stronę. Kiedy ich ociężałe gadzie mózgi zarejestrowały fakt

pojawienia

się świeżego mięsa, smoki ruszyły ku Cymmerianinowi.

Po prawej stronie Conana znajdowało się wejście do następnego tunelu. Pobiegł ku niemu, ale

kiedy się zbliżył, w mroku zabłyśły dwie pary wielkich żółtych oczu i znów rozległ się szelest łusek po skale. Były to dwa następne smoki, Które przybyły zaciekawione hałasem. Conan rzucił się do drzwi z brązu, ale te okazały się zamknięte na głucho. Smoki otoczyły Cymmerianina półkolem. Pot spłynął mu po czole i zapiekł w oczy. To było gorsze od szczurów, będących przecież ciepłokrwistymi ssakami, a przez to i odległymi krewnymi człowieka. Tymczasem te tytaniczne, powolne jaszczury znajdowały się w stosunku do ludzi na przeciwległym krańcu istot żywych. Były oślizgłymi potworami powstałymi z pradawnego szlamu. Conan miał przed sobą gromadę niedobitków z czasów młodości świata, kiedy to ziemia poruszyła się i zniszczyła ich potężnych przodków, na miliony lat przedtem, zanim pierwszy człowiek stanął na tylnych nogach i postanowił walczyć o dominację nad światem przyrody. Smoki zbliżały się jak żywe koszmary przybyłe prosto z piekła.

Obsydianowy nóż spływa deszczem krwi,  
aby ugasić upiorne pragnienie.  
TO jednak wciąż niesyte, przynagła  
swych przeklętych służebników cierpienia.  
„Prococtwo Epemitreusa”

17

## DZIEŃ KRWI I OGNIA

Pod rozpalonym, południowym słońcem szereg milczących ludzi postępował krok po kroku w kierunku szczytu potężnej piramidy. Strugi potu spływały po twarzy i torsie Sigurda. Nigdy nie myślał, iż kres jego życia nadejdzie w tak barbarzyńskich okolicznościach. Płonący statek, pokład śliski od krwi poległych czy zasypane gruzem uliczki zdobywanego portu — tak zawsze wyobrażał sobie scenę swojej śmierci. Tam powinien czekać na niego zimny pocałunek stali przeszywającej ciało. Ostrze wślizgnęłoby się pomiędzy jego żebra, a on roześmiałby się przeciwnikowi prosto w oczy, po czym czerwona mgła zasłoniłaby ten ostatni widok. Ale nie tak jak tutaj! Sigurd rozejrzał się po przazonym słońcem placu wokół świątyni. Tłum w odświętnych strojach połyskiwał złotem, jadem i błyszczącymi piórami. Zgromadzeni tu Antillianie stali lub siedzieli w pełnym skupienia milczeniu, obserwując ponury spektakl rozgrywający się na szczycie świątyni. Kapłani stojący wokół ołtarza kołysali się miarowo, zawodząc powolną, nieharmoniczną pieśń, przerywaną co jakiś czas hukiem olbrzymich bębnow pokrytych ludzką skórą, których grzmot przypominał bicie gigantycznego serca. Dobosze siedzieli we wnęce jednego z boków piramidy. Niszę pokrywały wymalowane jaskrawymi kolorami podobizny demonów i bogów tego świata. Sigurd spojrzął w górę. Sylwetka najwyższego kapłana w czerni rysowała się wyraźnie na tle lazurowego nieba. Czterech kapłanów w zwierzęcych maskach krzątało się wokół ołtarza. Wszyscy byli obnażeni do przepasek, tylko główny ofiarnik nosił ogromny, spadający na plecy pióropusz. Jego złota

maska odbijała promienie słońca rzucając oślepiające błyski.

W tej chwili ofiarą była młoda, naga niewolnica. Gdy pomocnicy położyli ją na ołtarzu na wznak, obsydianowe ostrze błysnęło w słońcu i rozdarło jej kształtne piersi. Chwilę później ręka

ofiarnika trzymała w górze drgające serce.

Szczęka Sigurda opadła ze zdumienia. Oto bowiem, na jego oczach, w przejrzystym powietrzu

zaczął z wolna materializować się Biesiadnik Piramidy.

Cień przyćmił słońce, a plac ogarnął chłodny półmrok. Powietrze przeniknął mróz międzygwiazdnej przestrzeni. Unoszący się nad piramidą Demon Ciemności uzyskiwał widzialny kształt.

Sigurd usłyszał piratów mruczących modlitwy do wszystkich bogów, jacy tylko przyszli im na

myśl.

Mrok zgęstniał, nabierał wagi i konkretnego kształtu. Niespodzianie powiał od niego zimny, cuchnący wiatr. Czarna chmura przybrała postać wirującej rozgwiazdy, której ramionami były

welony cieni. W jej wnętrzu kipiała ciemność.

Zafascynowany i przerażony Sigurd patrzył na TO nie mogąc odwrócić wzroku. Chmura przyciągała jego spojrzenie niczym wąż hipnotyzujący swoją ofiarę.

Z dreszczem grozy Sigurd obserwował, jak ofiarnik karmił demona, podając smolistej chmurze serce za sercem. Stary pirat zrozumiał teraz znaczenie symboli starożytnych Atlantów.

Czarny Kraken, który na pierwszy rzut oka przypominał ośmiornicę, w istocie symbolizował właśnie tę pulsującą, dyszącą, czarną chmurę zła. Czarny Kraken był Xotlim, Demonem Ciemności, o czym szeptały najstarsze tylko mity!

Sigurd mocno zacisnął szczęki, ale wewnątrz jego odwaga obumarła. Gdyby wiedział, że skończy na spływającym krwią ołtarzu, to nigdy by nie wyruszył w tę podróż.

Linia jeńców wciąż posuwała się naprzód i w górę. Szczyt piramidy był coraz bliższy i bliższy. Unoszący się nad nim obłok pulsującej ciemności stawał się coraz większy i ciemniejszy.

Niezwykle było to, że żaden ze skazanych nie próbował się bronić lub uciekać. Wszyscy stali z pochylonymi głowami albo tępo wpatrywali się w czarny obłok. Ponury, obezwładniający lęk

poraził ich dusze. Szli jak barany pędzone do rzeźni.

Przyczyną tej bezwolności na pewno nie byli strażnicy śledzący uważnie każdy ruch jeńców.

Również więzy ciasno oplatające nadgarstki nie mogły pozbawić skazanych woli walki. To straszliwa, nieludzka moc bijąca od Demona Ciemności sprawiała, że nikt nie szukał ucieczki przed skrwawionym nożem, który bez końca podnosił się i opadał.

Kolejne ciała z czerwonymi dziurami w piersiach i drgającymi członkami ściągano z kamiennego ołtarza i rzucono w ciemną gardziel szybu, ziejącą kilka kroków dalej. I znów na czarnym kamieniu rozciągnięto nową ofiarę. Błysnął obsydianowy sztylet. Trysnęła fontanna krwi i wyrwane serce podniesiono do góry.

Sigurd idący na czele piratów nie żałował, że będzie pierwszy. Gdy Conan odszedł, ciężar dowodzenia spadł na niego. Dowódcy zaś wypadało dać swoim ludziom przykład nieugiętej odwagi.

W końcu przyszła kolej Sigurda. Czarny wir był blisko. Stary Vanir poczuł badawcze spojrzenie niewidzialnych oczu, pożądających jego życia i krwi.

Kapłani w zwierzęcych maskach stanęli przed nim. Byli obnażeni do pasa. Ich torsy i ramiona

spływały szkarłatem. Szponiaste palce wpiły się w ciało Sigurda. Za moment oprawcy rozciągnęli jego olbrzymie cielsko na mokrym kamieniu. Oczy połyskujące w szczelinach masek

były szkliste i mętne, a spojrzenia niewidzące.

Sigurd leżąc na plecach wpatrywał się w wirującą nad nim ciemność. Mocne ręce trzymały jego nadgarstki i kostki nóg. Teraz w polu widzenia pojawił się ofiarnik, łypiący oczami spod kłębowiska lśniących, szmaragdowych piór. Żyłaste, ociekające krwią ramię wyciągnęło się, by

naznaczyć kudłatą pierś Vanira. Potem druga ręka podniosła do góry sztylet z czarnego szkliwa.

Wtem uzbrojone ramię znieruchomiało. Sigurd z sykiem wypuścił oddech, który nieświadomie zatrzymał.

Kapłan stał sztywno na tle nieba, a po chwili odwrócił głowę. Gdzieś w dole rozległ się dziwny dźwięk, jakby uderzenie w olbrzymi dzwon, wybijający chwilę przeznaczenia.

Siedzący

na tronie Hierarcha przerwał swą inkantację.

U podnóża piramidy zabrzmiał głośny szmer, jak gdyby wszyscy Antillianie naraz wciągnęli powietrze. Chwilę później buchnął wrzask.

Ofiarnik zapatrzył się na coś dziejącego się na placu wokół piramidy. Sigurd usłyszał głęboki, donośny ryk, przypominający basowy skrzek krokodyla z Kush, ale o wiele dłuższy i głośniejszy.

Czterej kapłani trzymający Sigurda puścili go i też zagapili się na widowisko rozgrywające się

w dole. Chwytając jeden drugiego za rękę, wskazywali coś sobie i trajkotali podekscytowani.

W

tym momencie piraci oprzytomnieli. Złowrogi nastrój przysł, a wraz z nim przepadł hipnotyczny

trans paraliżujący pragnienie desperackiej walki o życie.

Sigurd sturlał się z ofiarnego ołtarza. Yasunga zaciskając z wysiłku białe zęby, zerwał pęta i z rozmachem dzielił pięścią w twarz roztargnionego ofiarnika. Ten zachwiał się i bez jęku runął

na kamienie w dole.

Sigurd działał szybciej niż kiedykolwiek w życiu. Jednym susem dopadł zaskoczonego Hierarchę. Włochate dłonie zacisnęły się na chudym karku i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, zachrząścił łamany kręgosłup.

Oddają skrwawione źródło życia

wrzącej chmurze ciemności.

Milczący tłum stoi odrętwiały,

oszołomiony, ślepy i na wpół umarły.

„Prooctwo Epemitreusa”

18

**BRAMY PRZEZNACZENIA**

Rzucając się naprzód, Conan uderzył swą kamienną maczugą z odwagą, jaką daje beznadziejna sytuacja. Trafił w pysk najbliższego gada. Stalaktyt złamał się z trzaskiem, a jego

grubszy koniec upadł na ziemię.

Sycząc wściekle, smok cofnął się szczerząc zęby i bijąc ogonem. Nigdy dotąd żadne mięso nie

zadało mu tak bolesnego szturchnięcia w nozdrza! Smok nie miał doświadczenia w walce z żywą

zdobyczą i uderzenie zdziwiło go i rozgniewało w równym stopniu.

Broń Conana skróciła się teraz do dwustopowego kolca z wapienia. Wystarczało to jednak, by dźgnąć w któreś z wielkich żółtych ślepi patrzących na niego z półkola łuskowatych łbów.

Jeśli

cios byłby dostatecznie dokładny i silny, to ostry szpic mógłby dotrzeć nawet do niewielkiego mózgu. Conan nie wierzył jednak, że to go zdoła ocalić, gdyż takie powolne stwory potrzebowały

dużo czasu, by stwierdzić, że są martwe.

W końcu do smoków dotarło, że będą musiały walczyć. Ogromne jaszczury ruszyły trzymając się blisko siebie. Conan uniósł się na palcach i trzymając kolec jak sztylet wypatrzył cel.

Nagle smoki stanęły. Przez otwór w stropie sali wpadł do środka jakiś kształt i z głuchym łomotem wylądował na plamie światła na podłodze. Były to nagie zwłoki, w których piersiach ziała ogromna rana.

Smok uderzony przez Conana pochrzäkując odwrócił się i ruszył do trupa kołysząc się krokiem. Widać takie, nie stawiające oporu jedzenie odpowiadało mu bardziej niż to, które szturchało w nos, gdy próbowało się je zjeść! Kiedy pierwszy smok zawrócił, wszystkie pozostałe bezmyślnie podążyły za nim na środek sali.

Niebawem pod wylotem szybu biegnącego od ofiarnego ołtarza rozgorzały zmagania o dostęp do trupa. Dwa smoki chwyciwszy ciało zębami za dwa końce, chrzäkając i wykrzywiając grube

szyje, usiłowały wyrwać zdobycz z pyska przeciwnika. Pozostałe dreptały dookoła starając się

odgryźć choćby kawałek trupa.

Wreszcie ciało rozerwało się z trzaskiem. Dwa smoki, które pierwsze chwyciły zwłoki, odsunęły się na bok, by przełknąć swoje porcje, reszta zaś stłoczyła się poszukując wnętrzości,

które wypadły na ziemię.

Conan zrozumiał wreszcie, w jaki sposób ci padlinożercy mogli utrzymać się przy życiu w tym labiryncie jaskiń. Nietoperze i świecące robaki na pewno by ich nie wyżywiły, ale tysiące trupów spadających tu ze szczytu piramidy umożliwiało smokom życie w luksusie.

Nierządnicą

Catlaxoc i arcyzłodziej Metemphoc mówili o ofiarach Xotli rzuconych w studnię bez dna. W rzeczywistości dno jednak było i zawsze stało na nim kilka wygłodniałych smoków wpatrzonych

wyczekująco w wylot szybu.

Conan uświadomił sobie, jaką drogę przebył wędrując przez podziemne królestwo szczurów i smoków. Początkowo Cymmerianin planował wyjść z labiryntu pod PrzedSIONKIEM Bogów.

Ten

ponury, szary gmach wznosił się na skraju placu otaczającego piramidę. Tymczasem walka ze szczurami zbiła Cymmerianina ze szlaku, a podziemna rzeka zniosła go jeszcze dalej poza zapamiętaną trasę. Jednak za sprawą kaprysu losu lub bogów mimo wszystko zdołał dotrzeć w

okolice swego pierwotnego celu. Znajdował się teraz dokładnie pod szczytem piramidy!

Wszystko to przemknęło przez umysł Conana w czasie trzech uderzeń serca. Kiedy potwory odwróciły się od niego, barbarzyńca pobiegł po obwodzie sali, prosto do drabiny z kołków wbitych w otwory w murze, wiodącej do platformy, na której stał antilliański wojownik.

Strażnik

nie przechadzał się już ospale, lecz wskazując na Conana wykrzykiwał niezrozumiałe pytania.



Cymmerianin dopadł drabiny. Strażnik miałby dużą przewagę, gdyby przyszło mu odpierać atak kogoś wspinającego się po kołkach. Conan właśnie zastanawiał się nad tym, gdy jeden ze smoków, który przegrał walkę o strzępy zwłok, ruszył ku niemu, wysuwając swój długi, rozwidlony język. Cymmerianin zdecydował się wypróbować swe szczęście w walce ze strażnikiem, niż znów stanąć przed stadem ogromnych jaszczurów.

Z szybkością mały uciekającej przed lwem, Conan wspiął się na drabinę. Zanim smok dotarł do ściany, Cymmerianin był już dwadzieścia stóp w górze, poza jego zasięgiem.

Teraz musiał poradzić sobie ze strażnikiem. Na chwilę przerwał wspinaczkę, wyciągnął sztylet

z pochwy i chwycił ostrze zębami. Wkrótce Cymmerianin znalazł się naprzeciwko wartownika

przykucniętego na krawędzi platformy. Mężczyzna zaszwargotał coś i groźnie machnął mieczem

z brązu.

Trzymając się kołka lewą ręką, Conan zahaczył kolaniem o inny, co pozwoliło mu uwolnić prawą rękę. Wtedy wyjął sztylet spomiędzy zębów. Żołnierz uniósł gwałtownie miecz. Sztylet mignął w powietrzu, trafiając wartownika w szyję, w zagłębienie poniżej krtani i wbijając się do

połowy ostrza.

Ze zdławionym bulgotem strażnik szarpnął się w bok. Upuścił z brzękiem miecz, po czym miotając się w agonii stracił równowagę i zleciał z platformy. Conan przyłgnał do ściany unikając strącenia przez spadające ciało. Strażnik uderzył o podłogę sali z głuchym łoskotem. Zduszony wrzask przecięło młasnienie smoczych szczęk. Potem, na dole zabrzmiały odgłosy gadziej uczty.

Oddychając ciężko Conan wszedł na platformę i usiadł na krawędzi ze zwieszonymi nogami. W ciągu ostatniej godziny przeżył najniebezpieczniejszą przygodę w całym swym awanturniczym życiu.

Kilka smoków wciąż stało u stóp drabiny, spoglądając na Cymmerianina z nadzieją. Po chwili jednak odeszły i dołączyły do pozostałych, otaczających jasny punkt w centrum sali.

Niebawem z

szybu wyleciały kolejne okaleczone zwłoki. Gady rzuciły się na trupa i na nowo rozgorzała walka o krwawe ochłapy.

Odzyskawszy siły po biegu i wspinaczkę, Conan wstał i ruszył dalej. Za platformą był tunel zamknięty brązową kratą, a za nią widniały stopnie wiodące w górę. Krata pod naciskiem dłoni

otworzyła się bez oporu. Kilka kroków dalej była duża nisza, a w niej znajdowało się gigantyczne

spizowe koło. Szprychy wystające poza obręcz uformowano w rękojeści, tak że całość przypominała koło sterowe dużego, zingarańskiego galeonu. Całą maszynię pokrywała gruba

warstwa zielonej patyny. Musiały więc minąć co najmniej dziesiątki lat od chwili, gdy była ona

używana.

Conan zadumał się, a jego myśli skupiły się wokół olbrzymich brązowych wrót prowadzących

do jaskini ze smokami. Do czego mogły one służyć? Bardzo możliwe, że zagradzały smokom drogę do miasta. W razie potrzeby potwory mogły być wypuszczone na ulice Ptahuacan. Ale dlaczego Hierarcha mógłby chcieć zrobić taką rzecz?

Odpowiedź znalazła się bardzo szybko. Smoki służyły podwójnemu celowi. Nie tylko

usuwały zwłoki, ale także mogły być wykorzystane jako broń w przypadku jakiejś rebelii przeciwko kapłanom. Nie ulegało wątpliwości, że koło z brązu było częścią mechanizmu otwierającego te wrota.

Tam na górze składano ofiary dla Xotli. Plac zapełniały tysiące ludzi, a najbliższych smoczycych wrót znajdowały się miejsca dla wyższych kapłanów i bogaczy. Wspaniały plan pojawił się w umyśle Conana.

Minał kratę i stanął przed kołem. Wziął głęboki oddech, chwycił za szprychy i mocno szarpnął. Metal jęknął przeciągle. Buty Conana zachrzęściły na kamiennej podłodze. Rozluźnił mięśnie, wziął kilka głębokich oddechów i znów spróbował. Muskły zadrgały mu na plecach i ramionach. Gdzieś po drugiej stronie muru rozległo się przeraźliwe skrzypienie. Pył

i odrobiny odkruszonej patyny posypały się dookoła. Z piskiem mechanizmu zmuszanego do ruchu po wiekach martwoty, koło drgnęło.

Conan znów napał na rękojeści, zaciskając dłonie tak mocno, że wydawało się, iż jego zbieleńczałe palce zatopią się w brązie. Ciągnął, aż krew zaczęła łomotać mu w skroniach. Koło obróciło się o kilka cali. Gdzieś wewnątrz murów zahuczały wprawione w ruch ciężary przeciwwagi.

Brązowe wrota przecięła świetlista rysa. Smuga blasku padła na podłogę sali.

Obracanie kołem stało się dużo łatwiejsze. Zza muru dochodziło warczenie i dudnienie starożytnego mechanizmu. Przerwa pomiędzy skrzydłami drzwi poszerzyła się. Za moment koło

zaczęło obracać się samo, coraz szybciej i szybciej. Odrzwia brązowych wrót rozchylały się z przeraźliwym piskiem zawiasów. Smoki, zaskoczone nie znanym im hałasem, zastrzygły uszami,

rozejrzały się i zwróciły ku otwieranym wrotom, za którymi wznosiła się w górę stroma rampa.

Jaskinię wypełniło ostre, dzienne światło. Conan zorientował się, że w tym samym czasie inna

para drzwi otworzyła się na szczycie rampy. Tamte wrota musiały być u podstawy piramidy lub

w jednym z budynków otaczających plac.

Gdy Conan odpoczywał, osłabiony wysiłkiem włożonym w poruszenie koła, smoki wydając podniecone ryki ruszyły kołyszącym się krokiem przez otwartą bramę. Drapiąc szponami o rampę żwawo puściły się w górę. Z czarnych wylotów tuneli wpadających do sali wybiegały kolejne smoki zwabione rykiem współbraci i przyłączały się do pochodu. Wkrótce ponad czterdzieści potworów wyszło na plac na górze. Oblędny wrzask przerażenia dotarł aż do dna jaskini.

Zdyszany, Conan leżał pod kołem i czekając, aż serce zwolni szaleńcze bicie, uśmiechał się okrutnym, zjadliwym uśmiechem.

Ohyda z pradawnych błot wciąż  
czeka nienasycona.

Choć dawno już Atlantyda runęła w proch  
pod miażdżącymi kopytami czasu.

„Proroctwo Epemitreusa”

19

KRYSZTAŁOWY TALIZMAN

Kiedy Conan napał na wielkie brązowe koło, na malowanym tynku pokrywającym mur we

wnęce u podnóża świątynią pojawiło się pęknięcie. Zaprawa pokruszyła się i zaczęła spadać na

bruk oraz głowy bębniących i śpiewających kapłanów. Drzwi z brązu ukryte pod tynkiem jęknęły

i zapiszczały rozchylając się powoli.

Hymn ucichł, a kapłani odsunęli się z pośpiechem od wrót. Zdumieni spoglądali jeden na drugiego, wyrzucając z siebie niespokojne pytania. W ślady kapłanów poszło tysiące Antillian,

którzy podnieśli się z miejsc wypatrując i rozpytujac.

Na szczycie piramidy ofiarnik przerwał obrzęd w chwili, w której miał wyrwać serce tęgiemu barbarzyńcy o posiwiąłej, czerwonej brodzie. Wrzawa narastała.

Wtem w ciemnym korytarzu rozległ się przerażający syk. Na plac powłócząc łapami wyszedł pierwszy smok, długi na ponad pięćdziesiąt stóp. Podniesiony łeb obracał się z boku na bok, a wypatrujące zdobyczy źrenice pod wpływem oślepiającego światła zwięziły się zamieniając w wąskie szparki. Z pyska wysuwał się długi na dwa łokcie różowy i rozwidlony język.

Kapłani z wrzaskiem rzucili się do ucieczki, usiłując wywalczyć sobie drogę w tłumie prostych Antillian. Wybuchła panika. W obłądnym ścisku ludzie zaczęli tratować się jak oszalałe zwierzęta.

Jakiś kapłan potknął się o swój pokryty piórami płaszcz i upadł. Zanim zdołał się podnieść, szczęki smoka zamknęły się na nim z szybkim kłapnięciem. Gad uniósł łeb, po czym targnął nim

kilka razy do tyłu, a elastyczna skóra na jego gardle rozdymała się i kurczyła w rytmie przełykania. Z każdym ruchem kapłan pogrążał się w paszczy coraz głębiej, aż w końcu na zewnątrz zostały tylko jego stopy w złożonych butach na wysokim obcasie. Smok uznał, że

są one niejadalne, odgryzł je i wypluł.

Pozostałe potwory z otwartymi paszczami wpadły prosto w tłum uciekających Antillian, rozgniatając ich szponiastymi łapami i roztrzacając jak zabawki machnięciami ogromnych ogonów. Krew bryzgała na wszystkie strony. Rynsztokami popłynęły spienione szkarłatne strumienie. Co chwila jakiś smok przerywał pościg, by unieść łeb i przełknąć zdobycz, po czym

znów nurkował w tłum w pogoni za następnym kęsem.

Tymczasem na zboczu czarno-czerwonej piramidy otworzyły się małe drzwi i wyszedł z nich Conan, trzymając w ręku miecz z brązu odebrany zabitemu strażnikowi. Cymmerianin uniósł olbrzymią pierś, nabierając pełne płuca czystego, świeżego powietrza, tak miłego po trupim zaduchu podziemnych jaskiń. Słony wiatr od morza rozwiał jego zmierzwioną, siwą grzywę. Wypuściwszy potwory na ulice Ptahuacan, Conan wspiął się na kamienne schody odchodzące ukośnie w górę od platformy nad salą smoków. Po drodze mijał wiele rozgałęzień i bocznych tuneli, ale wiedząc, iż ceremonia ofiarna odbywa się na szczycie świątyni, wybierał tylko te, które prowadziły w górę. W ten sposób dotarł do drzwi, którymi właśnie wyszedł na stok piramidy.

Przez chwilę stał spoglądając w dół. Z ponurą satysfakcją obserwował rozgrywające się na placu sceny szaleństwa. Kilka smoków dotarło do rzędów kamiennych ław, tam gdzie

siedziała arystokracja i wyżsi kapłani. Dostojnicy biegli teraz jak w amoku w górę i w dół, ścigani, chwytni i pożerani. Wrzeszczące, pozbawione znaczenia kukiełki.

Z tej wysokości Conan widział też odchodzące od placu ulice. Na każdej z nich kłębił się tłum uciekających. Ludzie wciskali się w napotkane drzwi i natychmiast je ryglowali. Pozostali nie przerywali ucieczki, dopóki nie minęli bram miasta i nie rozbiegli się po okolicy.

Conan spojrział na szczyt piramidy. Tam gdzie wznosił się ołtarz Xotli, grupa ludzi walczyła ze strażnikami. Ich kolor skóry i wzrost pozwoliły Cymmerianinowi stwierdzić, że jest to jego załoga.

Wtem uwaga Conana skupiła się na postaci stojącej znacznie bliżej. Był to jakiś stary kapłan, w poszarpanej szacie z piór. Człowiek ten zgubił gdzieś swój pióropusz, a krew spływała mu z

jednej strony tysej czaszki. Pochylony do przodu, gestykulował wściekle, wykrzykując rozkazy

do stłoczonych żołnierzy i kapłanów.

U podstawy piramidy, dokładnie pod usiłującym opanować sytuację kapłanem, jeden ze smoków przystanął na chwilę, badając językiem zapachy. Potem potwór uniósł łeb i zaczął drapać się w górę po schodach.

Złośliwy uśmiech wykrzywił brodatą twarz Conana. Cymmerianin wepchnął spiżowy miecz za pas i ruszył w stronę schodów, na których stał antilliański dostojnik. Bez słowa położył obydwie ręce na wąskich plecach kapłana i straszliwie pchnął.

Hierarcha powiewając strzępami szaty spadł na stopnie poniżej i sturlał wprost pod idącego z dołu smoka. Zębate szczęki natychmiast zamknęły się na wiekowym przywódcy Antillian.

Wygolona głowa starego kapłana szarpnęła się gwałtownie, a kościste pięści zaczęły bić rozpaczliwie po łuskowatym pysku. Wkrótce jednak któryś z szablastych kłów natrafił na żywotny organ i krzyk urwał się, a głowa oraz ramiona zwisły bezwładnie. Przysiadając u podstawy piramidy, smok zabrał się do przełykania zdobyczy.

Naprzeciw ołtarza Yasunga gromił kapłanów drzewcem od świętego proporca. Jakiś pirat i kapłan tarzali się po kamieniach. Każdy zaciskał dłonie na gardle przeciwnika. Singh, bosman,

chwyciwszy za halabardę jakiegoś żołnierza usiłował utrzymać broń ostrzem przy ziemi, podczas

gdy jego przeciwnik starał się ją uwolnić i zadać cios. Zamorianin Artanes zdobytą piką walczył

z dwoma Antillianami naraz. Sigurd ofiarnym sztyletem ciął więzy na nadgarstkach piratów, podczas gdy kilku innych korsarzy odpierało kapłanów i żołnierzy starających się mu to uniemożliwić. Wielu antilliańskich strażników uciekło ze szczytu piramidy, ale część ciągle walczyła ze swymi dawnymi jeńcami.

Z wojennym okrzykiem Conan rzucił się w wir starcia. Będąc w kolczudze z łatwością stawił czoło trzem małym brunatnym ludziom. Za moment antilliańska głowa zleciała z tułowia i sturlała się po stopniach piramidy. Następny żołnierz zaplątał się w kłębowisko własnych wyprutych kiszek, a trzeci uciekł wymachując kikutem ręki.

Oczy Antillian wypełniło zabobonne przerażenie. Zaczęli w popłochu cofać się przed Conanem, który robił wypadki to tu, to tam, ciągle zmieniał pozycję i zabijał raz za razem. Chociaż nie był tak zręczny, jak przed laty, to jednak jego atak był najbardziej przerażającą rzeczą, jaką Antillianie kiedykolwiek widzieli.

— Demon! To jakiś demon! — krzyczeli umykając na boki.

Wkrótce już nikt nie stał pomiędzy Conanem a gromadą piratów zgromadzonych dookoła Sigurda.

— Amra! — wykrzyknął Vanir. — Na Croma i Mitrę oraz wszystkich bogów, myśleliśmy, że nie żyjesz!

— Jeszcze żyję, Rudobrody! Jak mam umrzeć, skoro ciągle pozostało mi kilku wrogów, których nie zdążyłem zabić? — Conan klepnął Sigurda w ramię. — A co u was?

— Część naszych jest skuta kajdanami z jakiegoś szkła. Nie mogę tego przeciąć i nie wiem, gdzie szukać kluczy.

— Zobaczmy co się da zrobić — mruknął Cymmerianin. — Rozciągnijcie łańcuchy na

kamieniu ołtarza!

Spizowy miecz błysnął żółtawo w południowym słońcu. Cymmerianin uderzył z całą siłą. Ogniwo łańcucha pękło z trzaskiem, a pryskające odłamki zamigotały jak diamenty.

— Teraz następny! — krzyknął Conan. Roztrzaskiwał łańcuch za łańcuchem, dopóki wszyscy piraci nie zostali uwolnieni. W miarę jak odzyskiwali wolność, korsarze rozglądali się za porzuconą bronią, podnosili ją i ruszali do walki. Pozostający jeszcze na szczycie piramidy kapłani i żołnierze uciekli niebawem z okrzykami przerażenia, porzucając włócznie i miecze. Conan spojrzął na plac. Był on już prawie pusty. Tylko kilka smoków przechadzało się ciężko po bruku ignorując ostatnich uciekinierów. Żołnierze, którzy nie uciekli, stali teraz w

zwartym szyku, pochylając las włócznie w kierunku smoków. Kapłani kręcili się przed frontem wojska gestykulując intensywnie i coś krzycząc.

Większość smoków już opuściła plac. Wszystkie najadły się, niektóre nawet w nadmiarze, i ich obecnym pragnieniem było znaleźć ciche miejsce, w którym mogłyby spokojnie trawić i drzemać. Większość gadów podążając za uciekającymi ludźmi wyszła z miasta i rozproszyła się

przepadając wśród pól jarzyn i kukurydzy. Kilka potworów dotarło do portu, wśliznęło się do wody i popłynęło wzdłuż wybrzeża. W czasie gdy Conan obserwował plac, ostatnia para smoków

wróciła z powrotem do jaskiń pod piramidą.

Kapłani zaprowadzili wreszcie porządek i zaczęli przegrupowywać swoje oddziały.

Wskazywali przy tym szczyt piramidy, co oznaczało, że szykują się do ataku na piratów.

Wkrótce kilka setek brunatnych wojowników otoczyło piramidę ze wszystkich stron.

Kilkunastu

żołnierzy pobiegło do Przedśionka Bogów i niebawem wróciło stamtąd, taszcząc kosze pełne szklanych kul z gazem usypiającym.

Oczy Conana zwięziły się. Teraz kiedy smoki odeszły, Cymmerianin nie miał wątpliwości, że dobrze wyszkoleni żołnierze Ptahuacan zdołają ich pokonać. Ten plac prawdopodobnie zobaczy

śmierć Conana i jego załogi. Przedtem jednak czekała ich ostatnia wspaniała walka!

— Czy możemy ich pokonać, Lwie? — zahuczał Sigurd drapiąc się w nagą pierś i unosząc obsydianowy kord. — Na wnętrzności Nergala i piersi Isztar, chcę widzieć krew tych małych, brunatnych bękartów! Po tych dniach w śmierdzącym lochu z największą przyjemnością rozwałę

kilka łbów i rozpruję kilka kałdunów, zanim padnę. Powiedz słówko, kamracie, wszyscy jesteśmy gotowi!

Conan kiwnął głową, a jego oczy płonęły. Miał już wznieść miecz i poprowadzić korsarzy do ostatniego ataku w dół schodami piramidy, by zwyciężyć lub paść, gdy nagle... zawisł nad nim

złowieszczy cień Demona Ciemności.

Na Croma! Jak mogłem zapomnieć o tym stworze z przestrzeni pomiędzy gwiazdami?

Przywołał go na ten świat krwawy rytuał, a emanacje konających ofiar nadały mu kształt oraz materialną postać. Przerwanie ceremonii nie osłabiło go ani też nie zerwało potężnego zaklęcia,

które dało mu życie w świecie ludzi.

Xotli trwał zawieszony ponad scenerią rzezi i buntu, przyglądając się z zimną złośliwością zniszczeniom i masakrze. Teraz ta nieludzka inteligencja ruszyła do działania. Czarna chmura zawisła, pulsując nad zgrają piratów, a z jej wnętrza wysunęły się niewidzialne macki.

Conan poczuł, jak lodowate palce wnikają w jego mózg, grzebiąc wśród wspomnień tak jak korsarz przetrząsający skrzynię z łupem. Czuł dotyk obcych myśli penetrujących najskrytsze

zakamarki duszy. Całe jestestwo Conana buntowało się przeciw temu psychicznemu pogwałceniu jego ja.

W tej najdziwniejszej walce swego życia Cymmerianin walczył przeciw badającym jego umysł wiciom ciemności. W królestwie myśli umysł przeciwstawiał się umysłowi. Blachy pancerza z hartowanej stali albo dębowa tarcza okryta niegarbowaną byczą skórą nie mogły być

tu ochroną. Żadne ostrze czy muskularne ramię nie mogło odeprzeć duchowych macek, które wkradły się do jego mózgu.

Conan czuł, jak te czułkowate palce wsączają w jego umysł lodowate odrętwienie rozlewające się po całym ciele. Zaczął tracić siły i z ledwością udawało mu się ustać.

Lecz walczył z tym. Uczepił się życia i świadomości z całą dziką zawziętością swej barbarzyńskiej duszy. Nigdy nie sądził, że kiedykolwiek będzie używał umysłu tak jak broni. Jeszcze był świadomy, jeszcze zmagął się z obcą inteligencją, która usiłowała go zniszczyć. Jednak pamięć zamazywała się, a macki umysłu zwanego Xotli wciąż odrywały umysł Conana

od ośrodków psychicznej energii.

Nagle demon zmienił taktykę. Jego macki zaczęły wysysać żywotną energię Conana. Wzrok barbarzyńcy zamglił się, świadomość przygasła. Przedmioty zaczęły tracić kolory, a w głowie Cymmerianina zadzwoniły niewidzialne dzwony. Czuł się tak, jakby ześlizgiwał się coraz głębiej, w studnię zimnej ciemności...

Ciągle jednak walczył przeciwko woli Xotli. Z pamięci barbarzyńcy wydobywał się nikły szept i dotarł do ginącej świadomości. Conan ujrzał siebie, jak stał w duchowej formie w mrocznym wnętrzu Góry Golamira, podczas gdy duch mędrca Epemitreusa mówił do niego. Jeszcze raz słyszał głos starożytnego filozofa:

„Mogę ci dać jeden podarunek. Noś go stale przy sobie, gdyż w godzinie ostatecznej próby będzie on twoim jedynym ratunkiem. Nie mogę powiedzieć ci nic więcej. W razie potrzeby twe

serce powie ci, jak użyć tego talizmanu”.

Conan przypominał sobie mgliście chłodną, połyskującą rzecz, którą poczuł w dłoni po przebudzeniu z prorocznego snu. Talizman ten nosił na szyi na srebrnym łańcuchu przez wszystkie

późniejsze przygody.

Chociaż wysowano siłę z jego ogromnego ciała, ciągle jednak trwała w Conanie owa nieugięta żywotność, która pozwalała mu wyjść cało z tak wielu śmiertelnych niebezpieczeństw w ciągu

całego życia. Teraz, w godzinie największej potrzeby, zebrał te ostatnie rezerwy.

Jedną pobrużdżoną dłoń podniosła się do szyi, wyciągnęła kryształowego feniksa spod koleczugi i zerwała łańcuch jednym szarpnięciem.

Gdy ciemność zacisnęła się na mózgu Cymmerianina, ten upuścił talizman. Jak z oddali usłyszał jego brzęk na kamieniach.

Z ostatnim przeblyskiem świadomości, kiedy umysł już spadał w wirującą pustkę, Conan nadepnął na amulet i skruszył go na pył. Potem runął w niebyt.

A kiedy staniesz wobec Krakena,  
zniewalającego najtęższe serca,  
nie odstępuj, jak inni, którym zabrakło odwagi,  
pozwól uderzyć feniksowi z kryształu!

„Proroctwo Epemitreusa”

## BOGOWIE ŚWIATŁA I CIEMNOŚCI

Z jakichś niezmiernych odległości, przez ciemne oceany zimna i mroku, wzywał go daleki, łagodny głos...

Kiedy Conanowi wróciła świadomość, ogarnęło go dziwne wrażenie. Poczul, że trzymają go mocno twarde dłonie oraz że jego nogi wloką się po kamieniach. Odetchnął głęboko, kaszlnął i

otworzył oczy, stwierdzając że jest niesiony. Z jednej strony trzymał go Sigurd Rudobrody, a z drugiej Goram Singh.

— Postawcie mnie, na Croma — mruknął Cymmerianin. — Mogę sam iść.

Zatrzymali się i pomogli mu stanąć.

— Tak mi się wydawało... — dodał, kiedy bezwładne nogi ugięły się pod nim. Byłby upadł do przodu i stoczył się po zboczu piramidy, gdyby kamraci znów go nie chwycili.

Posadzili go na jednym z kamiennych stopni. Miliony gorących igieł przesywały mięśnie Conana, w miarę jak powracały mu siły. Cymmerianin powoli zbierając myśli rozejrzał się dookoła.

Ogromna przejmująca cisza panowała w całej okolicy. Piraci znajdowali się w połowie wysokości piramidy, tuż przed szeregami antilliańskich żołnierzy. Jednak brunatnoskórzy wojownicy w połyskujących, szklistych zbrojach nie zwracali uwagi na piratów. Z wytrzeszczonymi oczyma i przerażeniem na twarzach gapili się w górę.

Conan obejrzał się i zadrzał z wrażenia. Nad szczytem piramidy pulsowała, migotała i rosła dziwna światłość.

— To powstało z klejnotu, który skruszyłeś pod stopą — rzekł Sigurd, zerkając niespokojnie w górę. — Mitra tylko wie, co tam się dzieje. Wszyscy usłyszeliśmy wewnętrzny głos, ostrzegający nas, byśmy odeszli stąd i to szybko. Niech mnie utopia jak lądowego szczura, ale cała ta diabelska magia i czarodziejskie sztuczki odbierają odwagę prostym wojownikom.

Conan zachichotał. Diamentowy pył powstały ze strzaskanego talizmanu unióśł się jako roziskrzona i migocąca chmura światła. Xotli ciągle wisiał nad kamiennym ołtarzem, a jego macki poruszały się niespokojnie, szukając śmiertelnego wroga. Wirujące pyłki światła podnosiły

się i rozbłyskiwały przybierając postać wirującej spirali jasności. Świetliste ramiona jarzyły się

na tle ciemnej masy Xotli, jak miliony gwiazd w najczarniejszą noc.

Włosy Conana rozwiały nagle lodowaty wiatr, który mógł wiać tylko między gwiazdami.

Wstęgi światła zgęstniały, uniosły się i zacisnęły na Xotli w morderczym uścisku. W tym momencie Mitra przemówił. Grzmot tysięcy burz zahuczał i przetoczył się ponad Ptahuacan.

Ziemia zatrzęsała się wraz z piramidą pod nogami piratów. Po stokach świątyni osunęły się lawiny

kamiennych ozdób. Z ogłuszającym hukiem duża część placu runęła w otchłań, zabierając ze sobą setki wrzeszczących brunatnych wojowników oraz wzbijając olbrzymią chmurę szarego pyłu. Conan domyślił się, że właśnie zapadła się jaskinia smoków.

— Wyośmy się stąd! — ryknął Cymmerianin.

Słaniając się na nogach i potykając, pobiegł schodami w dół. Za nim rzucili się tłumnie piraci. Ci z nich, którzy mieli broń, wysunęli się do przodu. Szeregi antilliańskich żołnierzy rozbiegły

się jednak w popłochu. Zaczęli uciekać z miasta. Wkrótce ich przygarbione w biegu plecy zniknęły piratom z oczu.

— Zbierzcie porzuconą broń! — krzyknął Conan. A potem do portu!

Wysoko ponad nimi bogowie światła i ciemności zwarli się w walce. Ogniste błyskawice wylatywały co chwila z wirującej spirali światła, dookoła której wiły się czarne chmury. Ziemia drżała i dygotała. Ogromny, szary gmach Przedśionka Bogów w ciągu kilku chwil zamienił się w kupę gruzów, którą zakryła kolosalna chmura pyłu. Jak gigantyczne drzewo ścięte toporem drwała, wysoka, spiczasta wieża pochyliła się i padła z hukiem na ziemię, powodując kolejny wstrząs gruntu pod nogami korsarzy.

Conań wiódł swych ludzi przez ulice Ptahuacan, nie zważając na mijanych Antillian. Ci zaś, dbając tylko o własne ocalenie ignorowali ucieczkę jeńców.

— Tędy — pokazał Conan. — Do portu, zanim całe to przekłete miasto zamieni się w gruzy. Wokół nich przedwieczne cienie gasnącego dnia niknęły, co chwila rozświetlane płomieniami jaśniejszymi niż południowe słońce. Głosy nadnaturalnej bitwy dudniły huczącym echem w wąwozach ulic Ptahuacan. Wreszcie trafiona kolejną błyskawicą oślepiającego światła czarna chmura zwinęła się wokół siebie, skurczyła, rozrzedziła i... znikła.

Nadludzka moc uwolniła się w potwornym wybuchu. Ziemia zawibrowała jak powierzchnia uderzonego bębna. Wiele domów zawaliło się, a piramida zniknęła. Na jej miejscu zapłonęła kula ognia wielokrotnie jaśniejsza od słońca, która po chwili zgasła z potężnym grzmiotem.

Ludziom Conana aż zadzwoniło w uszach.

Gigantyczna kolumna gęstego, czarnego dymu wzniosła się nad miejscem wybuchu, przybierając kształt grzyba. Migoczące błyskawice boga światła igrały jakiś czas na jej szczycie, niczym nieziemska korona. Wreszcie płomienie zgasły, a słup dymu opadł łącząc się z szarą chmurą pyłu wiszącą nad ruinami oraz z dymami pożarów.

Nad Ptahuacan zaległa cisza. Większość kapłanów zginęła pod gruzami świątyni, a reszta uciekła za mury miasta. W ciągu nocy i dnia po katastrofie Ptahuacan znalazło się we władzy jednego tylko człowieka. Był nim Metemphoc, król złodziei.

W czasie gdy miasto było prawie puste, złodzieje posłuszni rozkazom Metemphoca zajęli ocalałe duże budynki i arsenały. Zabili kilku napotkanych żołnierzy i otworzyli lochy, uwalniając swoich, a także setki zwykłych Antillian, skazanych pod byle jakim pretekstem i oczekujących na śmierć na ołtarzu Xotli. Wielu uwolnionych przyłączyło się do ludzi Metemphoca.

Kapłani, którzy uciekli z miasta, zebrali resztki swych wiernych wojowników i spróbowali wywalczyć sobie powrót do stolicy. Jednak piraci Conana uzbrojeni we własną broń, odnalezioną w jednym z arsenałów, uderzyli na nich od tyłu i rozgromili.

Tak oto, pod przywództwem grubego i przebiegłego Metemphoca, dla Ptahuacan zaczęły się nowe czasy. Król złodziei na pewno nie był idealnym władcą, ale trudno było być gorszym niż kapłani, którzy trzymali kraj w przerażającym ucisku przez tak wiele stuleci. Teraz ocalałych z pogromu Antillian czekały lata pokoju.

Na Ptahuacan spłynęło błogosławieństwo Starych Bogów Atlantydy, którzy osiem tysięcy lat temu zatopili ten kontynent w głębinach zielonego oceanu za to, że ich dzieci zapomniały o nich ulegając mrocznemu Xotli.



— Na Croma! To wspaniale znów czuć pod nogami solidny pokład, choćby nawet tak dziwnego statku, jak ten! — zawołał Cymmerianin.

Od klęski Xotli minął miesiąc. Conan wyczerpany zmaganiem w podziemiach miasta i na stokach piramidy spał przez cały dzień i dwie noce. W dniach, które potem nastąpiły, jedynie leżał, jadł za dwóch i opowiadał załodze swe przygody.

Teraz, kiedy świt zapalił na wschodzie szkarłatne i złote płomienie, Conan wkroczył na pozłacane deski smoczego statku i odetchnął głęboko chłodną, słoną bryzą, która przeganiała szarą mgłę znad oblicza Oceanu Zachodniego. Cymmerianin czuł ogromne zadowolenie. Ha! Czy był stary? Czy powinien wpełznąć pod kołdrę i pozwolić zrzędzącym medykom zdecydować, kiedy ma się przenieść na tamten świat?

Prychnął zirytowany na takie myśli. Ciągle mógł dać Catlaxoc noc, która pozostawiłaby ją szczęśliwą i bez sił. Stary pociąg do przygód, stare zamiłowanie do włóczęgostwa wciąż wypełniało jego pierś. W jego wysuszonym, żyłastym ciele pozostało dość sił na jeszcze jedną

lub dwie przygody!

Poklepał pozłocaną burtę mocną dłonią, tak jakby klepał bok krzepkiego ogiera. Tak, jeszcze jedną, ostatnią przygodę...

Rozejrzał się wokoło. Niezawodnym okiem starego korsarza Conan wypatrzył najlepszy statek w porcie, kiedy wpadł na nabrzeże ze zziądaną gromadą poszarzałych od pyłu piratów i połową miasta walącą się w gruzy za nimi. Zapędził ich na pokład tego samego okrętu, który kilka tygodni temu pokonał „Czerwonego Lwa”. Conan roześmiał się na myśl o zdumieniu, jakie

wywołałby ten dziwny atlantydzki statek na wyspach Baracha.

Przywłaszczenie tego okrętu, który nazwał „Skrzydlatym Smokiem”, nie odbyło się bez trudności. Piraci początkowo czuli niechęć do jego dziwnego ożaglowania. Dlaczego, pytali, nie

wyciągniemy kadłuba „Czerwonego Lwa” i nie doprowadzimy go do użytku? Jednak Conan uznał, że ich karaka jest zbyt mocno uszkodzona, by udało się ją wyremontować bez pomocy stoczni znajdujących się po drugiej stronie oceanu. Kadłub był wypalony w wielu miejscach. Żagle, maszty i takielunek spłonęły. Ich odtworzenie kosztowałoby mnóstwo pracy i wysiłku. Dużo łatwiej było zabrać zapasy oraz zdatne do użytku sprzęty i przenieść to wszystko na „Skrzydlatego Smoka”.

Potrzeba było jeszcze kilku dni, aby zapoznać załogę z egzotycznym olinowaniem oraz wprowadzić zmiany zaplanowane przez Conana. „Skrzydlaty Smok” był galerą, wymagającą większej załogi niż żaglowiec tej samej wielkości. Szczęśliwie, wśród młodych Antillian znalazło się wielu śmiazków, którzy najęli się jako wioślarze.

Sigurd Czerwonobrody wszedł po drabinie na rufowy pokład, po czym chrząknął i splunął.

— Hej, Lwie! — zawołał. — Dobrze spałeś?

— Jak zabity.

Sigurd wzruszył ramionami i spojrzał w tył, tam gdzie siedem wysp Antilli kryło się za horyzontem.

— Pozostało za nami wielu zabitych. Na brodzie Lira i rybi ogon Dagona, podziwiam sposób, w

jaki wyciągnąłeś nas z paszczy demonów!

— Co masz na myśli? — zapytał Conan.

— Och, nic! Po prostu nie sposób nie czuć respektu przed sposobem, w jaki uwolniłeś kompanów z kłopotliwego położenia, to jest doprowadzając połowę miasta do ruiny.

Conan zaśmiał się szorstko.

— Tak! I z przyjemnością zrujnowałbym drugą połowę, by mieć obok siebie takiego starego

morsa jak ty.

Sigurd westchnął.

— Miło, że to mówisz, Amra. Ale ja nie jestem już tak zwinny jak kiedyś — popatrzył gdzieś w dal. — Zrobiłbyś lepiej przyjmując ofertę Metemphoca, gdy chciał nas przyjąć do swej armii.

Conan uśmiechnął się potrząsając przecząco głową.

— My sami jesteśmy sobie królami i jesteśmy z tego dumni. Nie będziemy służyć innym ludziom, kiedy możemy być panami samych siebie.

Słońce wzniosło się wyżej, napęliając niebo jaskrawym błękitem. Białe mewy krążyły popiskując, a zielonkawe fale pluskały ó kadłub „Skrzydlatego Smoka”. Conan wziął głęboki oddech, a stojący obok niego Sigurd patrzył to na jaśniejący świt, to na szarobrodego przyjaciela.

— Dokąd teraz, Lwie? — zapytał. — Wracamy na Wyspy Barachańskie czy spustoszymy wybrzeże Stygii i Shem?

— Tego statku nie zbudowano do tak dalekich wypraw. Z tymi wszystkimi wioślarzami do wyżywienia i napojenia nigdy byśmy tam nie dotarli.

— Ale zielona galera, którą wpieryw spotkaliśmy, dokonała tego.

— Tak, lecz ja nie jestem czarownikiem, by zwołać do wioseł gromadę duchów.

Conan zamyślił się. Stary Metemphoc opowiadał mu dużo o okolicznych ziemiach. Dalej na zachód, na krawędzi świata, jak mówił stary złodziej, leżał rozległy kontynent, Mayapan. Tak nazywali go Atlanci i ich antilliańscy potomkowie. Dawni władcy Ptahuacan wyprawiali się tam

poszukując złota, szmaragdów, rodzimej miedzi, czerwonoskórych niewolników i niezwykłych

ptaków o przepięknych piórach. Polowali tam także na drapieżne koty, których skóry

znaczyły czarne plamy na złotym tle. Tam również były barbarzyńskie państwa założone przez

zbiegów z Atlantyd i Antilliów, w których pieniały się kultury Wielkiego Węża i Szablatozębnego Tygrysa,

domagające się ludzkich ofiar.

Nowy kontynent, myślał Conan, świat bezkresnych dżungli i ogromnych równin. Świat nieprzebytych gór i tajemniczych jezior i potężnych rzek wijących się jak węże z roztopionego

srebra pod gałęziami szmaragdowych lasów, w których nieznane ludy czczą dziwnych i straszliwych bogów...

Ciekawiło Conana, co czeka go w odległym Mayapanie? Jeśli dotrze tam, gdzie tubylcy nie widzieli nigdy brodatych ludzi i broni z żelaza, może zdobędzie olbrzymie imperium i będzie czczony jako bóg? Może przynosząc tam część kultury świata hyboriańskiego, stanie się

herosem z legend, które przetrwają tysiące lat...

— Przerwijmy ten post! — rzekł do Sigurda. — Myślenie o przyszłości pobudza mój apetyt! Zeszli na dół, pod pokład rufowy, i zasiedli do suto zastawionego stołu. Tymczasem statek, który lud Mayapan nazwał później Quatzalcoatl, co w ich języku oznaczało „Skrzydlaty” lub „Upierzony Wąż”, zostawiając za sobą Antille płynął ku nieznanym krainom Zachodu. O tym co było dalej, starożytne kroniki, które kończą się tutaj, już nic nie mówią.